BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN
czas. 2552/1979/2

WIERSZE LEOPOLDA LEWINA str. 9

Dwie kobiety w różnym wieku
Bronisław Kowalski str. 4–5

KSIĄŻKI ZE STRYCHU
Z Wersalu do klasztoru
str. 16

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 21 I 1979 NR 2 (670) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

NOTATKI SPOD BŁĘKITNEJ FLAGI

Zbigniew Domino

W Egipcie jest miasto i kanał o tej samej nazwie. W doniesieniach prasowych słyszy się ponadto o strefie Kanału Sueskiego. Jest więc dobra okazja, żeby sobie parę historycznych faktów przypomnieć, jako że tym razem wybieramy się w odwiedziny do naszych żołnierzy w błękitnych hełmach stacjonujących w mieście Suez oraz — po drugiej, azjatyckiej stronie Kanału Sueskiego — w Mike i Abu Zenimie.

JAK MÓWI HISTORIA

MORZE Śródziemne z Morzem Czerwonym już za Senusereta III (1887—1849 p.n.e.) łączył kanał, który wiązał Nil i jego liczne odgałęzienia. Potem ta droga wodna, zamulona i zasypana przez pustynne piachy, znika i na długo ulega zapomnieniu. Przypomniał sobie o kanale w 609 roku p.n.e. faraon Necho II, nakazał odkopywać go fellachom, ale były to wysiłki bezowocne. Król Persów, Dariusz I doprowadził nitkę kanału do Jeziora Gorzkiego, ale i jego wysiłki zniweczył piach. Potem przekopał kanał Ptolomeusz, po nim rzymski cesarz Trajan, a już w 640 roku naszej ery wyryto kanał na cześć arabskiego wodza Asur Ibn Al-Asa. Jednakże wszystkie te próby okazały nie nieudane.

Dokończenie na str. 10

Wieża ciśnień w Suezie
Fot. F. Więcek

NASZA ZIMA ZŁA...

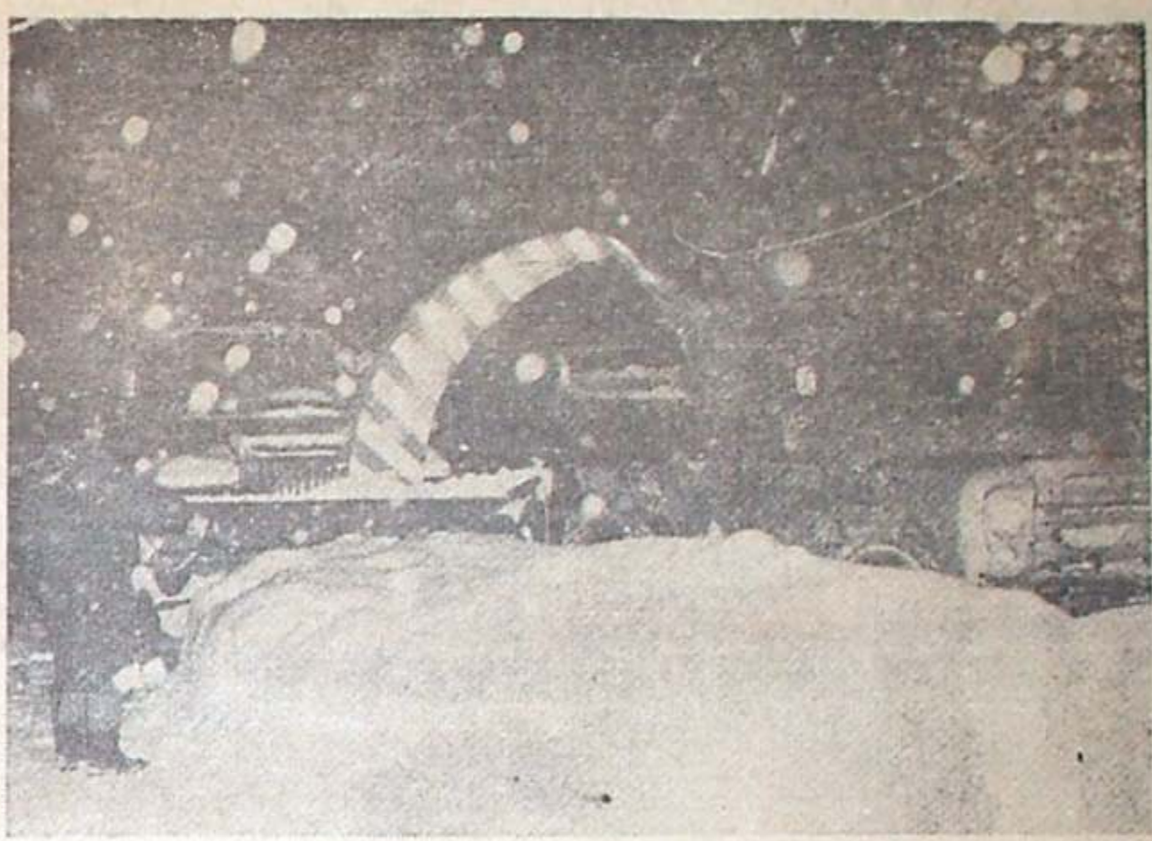

Fot. J. Trembecki

Życie z dopustem

PEWIEN mój znajomy powiada, że w czasie szczególnego nasilenia dopustów atmosferycznych (30 XII—6 I) żyło mu się całkiem nieźle, a może nawet jeszcze lepiej. Wprawdzie, żeby dojechać na bal sylwestrowy z jednego końca miasta na drugi, musiał zapłacić taksówkarzowi trzysta złotych, ale i tak się liczył z wydatkami w tym dniu. Poza tym wszystko w porządku.

W mieszkaniu spółdzielczym temperatura nigdy nie spadała poniżej osiemnastu stopni na wysokości jednego metra. Rano w sklepie zawsze były świeże bułki i mleko. Administracja osiedla zadbała o uprzątnięcie dróg wewnętrznych ze śniegu, co zresztą dla znajomego nie miało większego znaczenia, ponieważ wyjął akumulator z samochodu i nie jeździł. Żona — nauczycielka i syn — uczeń nie chodzili do szkoły, więc nie było kogo wozić. Sam zaś szedł do pracy piechotą. Pół godziny drogi, spacer raczej zdrowotny niż uciążliwy.

Ani razu nie zgasło światło w mieszkaniu, nigdy nie zabrakło wody, nie nawaliły rury w piwnicy, ani nie rozsadziło kaloryferów w klatce schodowej. Całodzienna

Dokończenie na str. 3

Stanisław Andrzej Łukowski

* * *

dobry poeta winien mieć
jedenaście pięter wyobraźni
i piwnicę na szczury

dobry poeta winien pisać dobre wiersze
a dobry wiersz powinien wzruszać
urzędnika rozważającego plan o rolnictwie
i robotnika z budowy

dobry wiersz powinien dawać ponadto do myślenia
kaznodziei który nawołuje maluczkich by nie czynili grzechu

dobry poeta nie pisze wierszy by podobały się
naczelnemu redaktorowi
ani cioci która kocha poezję

dobrego poetę
jeśli upada z jedenastego piętra
hołubią szczury

dobry poeta
jeśli umiera
pan Bóg we wszystkich kościołach
każe bić w dzwony

dobry wiersz
jeśli wybucha
na czerwono barwi papier

a kiedy dobry poeta milknie
urzędnik przestaje wierzyć w realność planu
robotnik wszystko przeklina
kaznodzieja każe się toczyć wiernym po równi pochyłej

Wiersz z tomu pt. „W imię własne", który w tym roku ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

z notatnika

31 XII. Zawiało solidnie, dmucha zresztą dalej. Wyprowadzana przed blok Diana najpierw zapada się w śnieg, później zrywa się, usiłuje biegnąć, by już po chwili znaleźć się z powrotem przy drzwiach. Widocznie nawet solidne futerko nie chroni od zimna.

Telewizja podaje komunikaty brzmiące jak meldunki z frontu walki. U nas, na Lubelszczyźnie, jest źle, ale na północy Polski — jeszcze gorzej. Przywykliśmy, patrząc na mapy pogody, że największe zimno opanowuje głównie Suwalszczyznę, tym razem bardziej mroźno jest w okolicach Gdańska, a tam przecież zwykle o tej porze — z uwagi na morze — pada deszcz. Przypomina mi się mój okres szczeciński. W telewizji oglądałem kilkumetrowe zaspy — obrazki ze wschodniej Polski, a za oknem siąpił kapuśniaczek. Aż wierzyć się nie chciało, że w moich rodzinnych stronach takie zawieje! Teraz i mieszkańcy Gdańska i mieszkańcy Szczecina poznają prawdziwą zimę, a poznają ją tym boleśniej, że zapewne nie są do niej tak przygotowani, jak my tutaj...

Sylwestra spędzam jednak w domu. Bardzo to chudy Sylwester. W redakcji zostawiłem butelkę szampana, myślałem, że dzisiaj ją przywiozę. Ba!

Wieczorem światło gaśnie dwukrotnie, na szczęście nie przerywa programu telewizyjnego w najciekawszych momentach. Słyszę, jak pani Loske wprost prosi, aby ci, którzy nie muszą wychodzić z domu, pozostali w czterech ścianach. I słusznie. Sylwester, a więc alkohol. Zamarznąć na tym mrozie wcale nie tak znów trudno.

5 I. „Kamena" już przedwczoraj znalazła się w kioskach, zgodnie z harmonogramem i w centrum miasta rozeszła się błyskawicznie. Zapewne dlatego, że innych czasopism jeszcze nie było. A przecież o samej zimie nie zdążyliśmy nic napisać, nie chcieliśmy opóźnić numeru. Owszem, zadania zostały podzielone, ale na efekt pracy dziennikarskiej w konkretnym kształcie trzeba będzie poczekać do następnego (czyli do tego) numeru. Trochę zazdrości się kolegom ze „Sztandaru" i „Kuriera", którzy mają możliwość szybkiej reakcji i, trzeba powiedzieć, informują bardzo wszechstronnie.

Mam przed sobą pierwszy tegoroczny numer „Polityki", a w nim artykuł na całą kolumnę pióra Marty Wesołowskiej pt. „Próba zimna".

Przepisuję:

„W pobliżu muzeum (Warszawa) dwaj mężczyźni jadą w stronę śródmieścia na nartach, przechodnie patrzą z zazdrością, oni z poczuciem wyższości na przechodniów."

„Karetki wyjeżdżające z Hożej grzęzły już na Marszałkowskiej, następne, jeśli wyjeżdżały — to żeby odkopać poprzednie."

„Na szosie zakroczymskiej, na środku drogi, wszystko, co jechało, a na chwilę choćby stanęło — zasypywał śnieg."

„— Nawet kiedy grzejniki pękały i lała się woda — nie mieliśmy czym dojechać (mówi nam dyżurny SPEC). Dojeżdżała za to Straż Pożarna wraz z milicją dostając się do zamkniętych mieszkań, gdzie woda lała się sąsiadom na głowy."

„Pociąg z Lublina utknął koło Wawra, niby już blisko, ale jednak — pieszo przy 20 stopniach... Ludzie szli wzdłuż torów, mąż z walizkami drogą osobną, żona z dzieckiem osobno — po paru godzinach zgubili się, on dzwoni (do milicji), co robić."

„W niedzielę straż ratowała Klinikę Ginekologiczno - Położniczą na Starynkiewicza: awaria wodociągów, zalana piwnica, zalana wewnątrz kotłownia, temperatura spadła do zera."

„Odpowiedzialny pracownik z 35-letnim stażem twierdzi, że jest to klęska, jakiej PKP nigdy nie przeżywały. Woda zamarzała i rozsadzała zwrotnice. Oblodzenia na sieci elektrycznej powodowały jej przepalanie podczas przechodzenia pantografów."

W „Gazecie Południowej" znajduję relację Macieja Szumowskiego pt. „Noc grozy w Łączanach." Autor pisze, że we wtorek w godzinach popołudniowych zaistniała realna groźba wyłączenia z krajowej sieci energetycznej elektrowni Skawina. „W kanale wodnym prowadzącym od Wisły do elektrowni z godziny na godzinę spadał poziom wody. Wody niezbędnej do pracy siłowni. Równocześnie tuż obok wsi Kamień i Rusocice woda podnosiła się gwałtownie grożąc w każdej chwili niewyobrażalną klęską powodzi. Decyzje o ratowaniu elektrowni lub mieszkańców wsi były nawzajem się wykluczające. Można było bowiem na stopniu wodnym w Łączanach na Wiśle spuścić wodę otwierając klapy i wówczas ludzie spaliby spokojnie, a groźba powodzi zniknęłaby zupełnie. Ale wówczas poziom wody w kanale elektrowni spadłby jeszcze niżej i elektrownia musiałaby stanąć pogłębiając jeszcze bardziej i tak drastyczny kryzys energii. Przyczyna? Niebezpieczne spiętrzenie lodu na Wiśle. Dramat polegał nie tylko na zaistnieniu tej obiektywnej sytuacji. Dramat dla ludzi idących z pomocą polegał na wyborze jednej z dwu, równie niebezpiecznych decyzji. Elektrownia czy bezpieczeństwo i życie ludzi? Którą decyzję wybrano?"

Szumowski, rasowy reportażysta, był na miejscu. Jeden fragment z jego relacji wart jest szczególnie zacytowania:

„I znów jasno oświetlony pokój w biurze — w sztabie dowodzenia. Wszyscy nadal stoją. Która to już godzina tego stania? Tylko dwa krzesła w pokoju. Rzecz nie do pomyślenia. W obecności tylu ważnych osobistości. W normalnej sytuacji ceremoniałom grzecznościowym nie byłoby końca. A tu wciąż dwa krzesła. To też jest prosty znak, jak już jest niedobrze z nerwami. Instynkt dyplomatyczny, który czasem oznacza po prostu instynkt samozachowawczy, znikł już zupełnie.

Sekretarz Krakowskiego Komitetu Partii, Jan Gluza, nie siada na jednym z dwóch krzeseł. Stoi. Jest oszczędny w słowach. Krążę i pytam zebranych dyrektorów od gospodarki wodnej:

— Gdy trzeba będzie, mimo wszystko, wybierać między zalaniem wsi, a unieruchomieniem elektrowni, to co wybierzecie?

Padają zgodne odpowiedzi, ważniejsza gospodarka, elektrownia, ma się rozumieć. Nie spuściliby wody mimo wszystko. Zresztą to zależy ile domów trzeba dać pod wodę.

Podchodzę do sekretarza KK PZPR, zadaję to samo pytanie. [...] Jan Gluza mówi:

— Jednoznacznie i bez wahania unieruchomiłbym elektrownię, aby ocalić wieś i jej dobytek. To jest poza dyskusją.

Mówię, że inni mają odmienne zdanie. Jego gest i wyraz twarzy nie mówi o tej odmienności zdań niczego dobrego."

Ostatecznie udało się (wojsko i trotyl), że nie trzeba było dokonywać wyboru. Elektrownia Skawina już w środę prawie osiągnęła poziom swojej normalnej wydajności, a wieś ocalała.

14 I. Tyle mam tematów, które pragnąłbym w notatniku poruszyć, ale ciągle jestem pod wrażeniem zamieszczanych w prasie relacji z tych tak trudnych dni. Jednocześnie wiem, że nakład prasy został zmniejszony i nie wszystkie dramatyczne momenty są powszechnie znane.

Oto drugi numer „Literatury". Natalia Iwaszkiewicz opisuje sytuację w warszawskiej elektrociepłowni Siekierki:

„... Na bocznicy zakładowej stały pełne węglarki, ale nie można ich było podciągnąć, bo zamarzły zwrotnice. Trzeba było grzać je miotaczami ognia. Zlodowaciały węgiel nie wypadał na wywrotnicy z wagonów. Odkuwano go ręcznie...

Niedziela, trzydziesty pierwszy grudnia. Rano komunikaty w radio, TV. Siekierki wzywają pomocy [...] Więc ludzie ciągną piechotą, z odległych dzielnic miasta. [...] Na miejscu są już niemal wszyscy dyrektorzy, inżynierowie, pracownicy administracyjni. Zastępca głównego inżyniera wracał z Lubelszczyzny, samochód zostawił w zaspie pod Opocznem (jaką on drogą jechał? — przyp. MAJ), czternaście godzin dobierał się do Warszawy pociągiem. I też już jest. Ściągnięto szefową zakładowej stołówki, wydzwoniono lekarza. Przyjeżdża wojsko, milicja, nadchodzi ciężki sprzęt. [...] Mróz ścisnął już na dobre całą elektrociepłownię. Wagon zleciał z szyn na wywrocie. Zamarzła aparatura pomiarowa. [...] Wieczorem około wpół do dziesiątej pod bramę elektrociepłowni podjeżdżają taksówki, przygodnie złapane nyski, kilka maluchów. W świetlicy miał się odbyć bal sylwestrowy dla pracowników. Nie było jak, nie było kiedy odwołać zabawy. Mężczyźni w świątecznych garniturach od razu dostają kufajki. Dziewczyny w złotych sandałach zostają same na przystanku autobusu „108". W stołówce podgrzewa się dla żołnierzy sylwestrowy bigos. [...] Nad ranem udaje się przebić węgiel w bunkrach. Przepchany z trudem na podajniki, znowu zawiesza się na nich. Szarpanina, nie kończąca się szarpanina. Wreszcie węgiel dociera do młynów. Można myśleć o podłączeniu trzeciego kotła. Rankiem kaloryfery w wielu mieszkaniach stolicy są nadal zimne. [...] *Nowy Rok.* Są tacy, którzy już trzecią dobę nie wychodzą z Siekierek. [...] W pomieszczeniach biurowych herbata odstawiona na pół godziny zamarza. [...] Przyszedł węgiel z „Halemby". Normalnie jeden wagon na wywrotnicy rozładowuje dwóch ludzi w ciągu czterech minut. Teraz trzeba ich dwudziestu i co najmniej kilka godzin, żeby rozkuli tę czarną, nie poddającą się bryłę. [...] Dotarł mazut z Płocka. [...] Nieustanna harówka na hałdach. Pomaga ciężki sprzęt dostarczony przez wojsko i budowlanych. Ale ludzi nie wyręcza. Oskardy, młoty, sztance. Bez przerwy. Nikt nie odejdzie na chwilę, dopóki nie ma zmiennika. [...] *Wtorek, drugi stycznia.* W sekretariacie naczelnego dyrektora Zespołu Elektrociepłowni — Warszawa, Wiesława Grzegorczyka, niespokojna krzątanina. Inżynier zasłabł. Zakładowy lekarz wysyła go do szpitala. Dyrektor nie chce. Trzeba będzie go na siłę pakować do karetki Pogotowia. [...] Czwarta doba bez snu. [...] Przewodniczący RZ, Mroczkowski, wydaje do bufetu dziesięć kilo sylwestrowej szynki i dziesięć kilo baleronu, z poleceniem, żeby je sprzedawać ludziom do śniadania. Kłopot ze skrzynką szampana. I drugą piwa, bo kto je wypije?"

I jeszcze raz „Polityka", drugi tegoroczny numer z felietonem Daniela Passenta pt. „Jeszcze będzie karnawał na naszej ulicy."

Passent pisze, odnotujmy i te słowa:

„Zima przypomniała architektom instalatorom i budowlanym, że nie jesteśmy krajem śródziemnomorskim. Szkło jest ozdobą architektury, ale w naszych warunkach musi być co najmniej podwójne, inaczej w sklepach panuje dotkliwy chłód, a zamiast drugiej pary drzwi pojawiają się wiszące zasłony, zakurzone i zesztywniałe, ale mało skuteczne. Zima przypomniała instalatorom, że w naszym klimacie rury i zawory muszą być dostosowane do dużych wahań temperatury, że plastykowa nowoczesność jest dobra i oszczędna tylko do pewnego stopnia. Zima najlepiej sprawdza, czy połączenia są trwałe, uszczelki dokręcone i wytrzymałe, okna szczelne, a drzwi spasowane.

Kolejny raz okazało się, że to, co mamy najlepsze, to ludzie. Odważni, wytrwali, odporni, wyległi na ulice tysiącami, żeby pomóc, odśnieżyć, oczyścić. [...] W atmosferze pewnej nerwowości i niepokoju wzrosło znaczenie wszelkiego rodzaju służby i administracji, wojska i pogotowia, milicji i dozoru. Nagle okazało się, że nie tylko ci, którzy są przy samej produkcji, ale również inni mają w swych rękach pomyślność kraju. Obok wytapiaczy pojawili się na ekranach dróżnicy, miejsce komputerów zajęły wagony i ciężarówki, automaty musiały ustąpić miejsca węglarkom. Tylko górnicy, jak zwykle, okazali się najważniejsi."

I trzeba się też zgodzić z Passentem, kiedy przypomina, że jakość życia zależy od jakości pracy. „Hasło to nigdy nie było tak odczuwalne jak dzisiaj, kiedy jakość życia w mieszkaniach, biurach, szpitalach zależy od jakości naszej pracy. [...] Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz".

Myślę, że przełom 1978 i 1979 roku nauczył nas wiele. I jest to nauka nie tylko na zimę, na te i na następne. Bo przecież nie o samą tylko zimę tutaj chodzi...

A ja się martwiłem w Sylwestra, że spędzam go bez tradycyjnej butelki szampana. Nawet nie przypuszczałem, jakim byłem szczęśliwcem!

A szczęście sąsiada Andrzeja, który szalał na balu w Teatrze Dramatycznym, można już uważać za kompletne!

MAJ

SZPALTA O SPORCIE

GDYBY zapytać przeciętnego kibica ile jest dyscyplin sportowych, odpowiedziałby bez wahania — 49. Tyle ich bowiem umieszczono pod poszczególnymi liczbami na kuponie toto-lotka, by tej zwykłej loterii liczbowej nadać charakter sportowy. Ile zaś jest naprawdę trudno powiedzieć, bo kupon toto-lotka wymienia nie tylko dyscypliny, ale i poszczególne konkurencje, a z każdym rokiem przybywają nowe, choćby różne odmiany walki w japońskim stylu, jazda figurowa na nartach i wiele innych. A co jeszcze można dla ruchu mięśni i motorów wymyślić, trudno przewidzieć.

Nie wszystkie jednak dyscypliny sportowe mają jednakową rangę. Są dyscypliny olimpijskie i nieolimpijskie. Są też takie, które były olimpijskimi, a dziś nie są. Są wreszcie takie, które mogą być obserwowane przez kibiców od początku do końca, są też takie, które widzi się tylko we fragmentach, jak kolarstwo czy nawet wyścigi gołębi pocztowych. Są wreszcie dyscypliny uprawiane w odosobnieniu, jak alpinizm czy płetwonurkowanie.

Ich widowiskowość ma znaczny wpływ na ich popularność. Nawet bardziej widowiskowe nie zawsze są na tyle popularne, jak na to zasługują, bo mają mniejsze wzięcie u dziennikarzy telewizyjnych w opracowywaniu programu, jak np. rugby, o którym miałem okazję wspomnieć przed kilku tygodniami.

Popularność poszczególnych dyscyplin decyduje też o popularności sportowców je uprawiających. Stąd też szeroka rozpiętość miejsc między nawet dwoma mistrzami świata na listach najlepszych sportowców w plebiscytach organizowanych przez gazety sportowe.

Takie reminiscencje nasunęły mi się, gdy czytałem listę najlepszych sportowców polskich w 1978 roku powstałą w wyniku plebiscytu Przeglądu Sportowego. Na pierwszym i dziesiątym miejscu znaleźli się na niej mistrzowie świata w dwu zimowych dyscyplinach sportowych: Łuszczek — narciarz i Kramer — bojerowiec. Bardzo ładnie, że narciarstwo znalazło sobie taką popularność dzięki Łuszczkowi, sportowcowi dobremu i skromnemu. Najbardziej podobała mi się jego odpowiedź na pytanie dziennikarza Trybuny Ludu, kogo się najbardziej boi ze swych konkurentów. Odpowiedział, że nie boi się nikogo, ale liczy się z wieloma przeciwnikami. Brawa dla naszego narciarza nie tylko za wyniki, ale i za prawdziwie sportowe podchodzenie do sportu.

Do narciarstwa będzie jeszcze okazja wrócić, bo w tym roku zima zaczęła się mocna. Chcę więc teraz kilka słów poświęcić dyscyplinie, której przedstawiciel znalazł się na dziesiątym miejscu w plebiscycie Przeglądu Sportowego. Bojery — piękne widowisko, choć nie tak dostępne dla szerokiej widowni, jak wszystkie gry czy inne dyscypliny boiskowe. A piękno jego tkwi nie tylko w samym jeżdżeniu na żaglach po lodzie, ale i w pracy konstrukcyjnej każdego zawodnika nad swym sprzętem. Zawody odbywają się na dużych zamarzniętych akwenach. Oglądają je więc tylko ci, którzy nad tymi zbiornikami wodnymi się znajdują. Bojery nie mogą przyjść do swoich widzów, widzowie muszą przyjść do nich. Ale wzrastająca stale liczba zalewów, sztucznych jezior, których w ramach zagospodarowania Wisły będzie dalej przybywać, stwarza wielkie szanse temu pięknemu sportowi.

Już dziś na zalewie zemborzyckim widzimy bojerowców a za kilka lat, na zbiornikach retencyjnych naszego regionu powstaną nowe możliwości uprawiania tego pięknego sportu. A gdy wzrośnie jego popularność, zawodnik na miarę Kramera na pewno znajdzie się o kilka miejsc wyżej w którymś z kolejnych plebiscytów na najpopularniejszych sportowców.

tgw

NASZA ZIMA ZŁA...

Dokończenie ze str. 1

zaś obecność żony i syna w domu sprawiła, iż życie rodzinne kwitło. Rano śniadanie na stole, po południu obiad ugotowany świeżo, mieszkanie wysprzątane. Atmosfera zgody i ładu. Wieczorem dzienniki telewizyjne krótsze, więc do filmu czy teatru bliżej, a potem już sen nie zakłócany dalszym programem telewizyjnym.

*

Stanisław Sitko, okazały mężczyzna w sile wieku, dziesięć lat pracy w MPO, w czasie Sylwestra pracował od 19.00 do 7.00. Kierowcy-operatorzy sprzętu oczyszczającego w ogóle muszą pracować w najtrudniejszym okresie dwanaście godzin na dwanaście odpoczynku. Brak ludzi w przedsiębiorstwie, zresztą sprzętu też: jest 17 jednostek samochodowych do likwidowania śliskości jezdni, a powinno być co najmniej 22.

Sitko jeździ na skodzie, która latem służy jako polewaczka, zimą zaś jako solarka z pługiem lemieszowym. Najgorsze, powiada, było to, że przy bardzo niskiej temperaturze padał zarazem gęsty śnieg i wiał silny wiatr. Na jezdni natychmiast tworzyła się twarda i gruba skorupa, zwana nabojem śniegowym, którą ciężko ruszyć jakimkolwiek sprzętem.

Taka skoda ma 180 koni mechanicznych i zbiornik z 8 tonami soli, z przodu potężny lemiesz do odgarniania śniegu. Wpierw się jezdnię kilka razy lemieszuje, a następnie soli, żeby resztki skorupy rozpuściło aż do czarnego asfaltu. Robota bywa syzyfowa, jeśli ciągle pada śnieg, ale gdyby nie ta robota, komunikacja miejska w ogóle by stanęła.

Sitko powiada, że nawet w największe mrozy nie miał trudności z uruchomieniem skody, która posiada akumulator o wielkiej pojemności. Przy pługowaniu nie obowiązuje żadna norma spalania benzyny i bywa, że samochód wypali 50 litrów na 100 kilometrów.

Jak się człowiek przez dwanaście godzin nakręci tym wielkim kołem kierownicy, to ręce drętwieją. Przede wszystkim trzeba czyścić te ulice, gdzie są spadki, a takich w Lublinie dużo. Najgorzej jest w nocy, choć ruch mniejszy i jeździć łatwiej. Około godziny 2.00 przychodzi kryzys, oczy maślane, spać się chce.

Ale narzekać nie można. Firma zawsze obiad dwudaniowy podstawi, na przykład flaki i kiełbasę. Kożuch służbowy, czapka i wafonki też. Pracując dwanaście na dwanaście, Stanisław Sitko wyciąga około dziewięciu tysięcy miesięcznie. Nieraz się pijak nocą napatoczył żeby go podwieźć do domu, ale Sitko odmawiał. Obowiązek i praca na pierwszym miejscu u niego, no i trzynastki szkoda, gdyby jaka kontrola.

*

Pewnego dnia przechodnie przy Placu Litewskim mieli widowisko za darmo, obserwując pracę potężnego pługu wirnikowego marki ził. Ta maszyna, wyposażona w silnik z barki o pojemności 19 tysięcy centymetrów sześciennych (!), potrafi w ciągu kilkunastu sekund załadować śniegiem wywrotkę. Gapie stoją i się patrzą. Takich kolosów w lubelskim MPO dwa. Mało. Przy największym nasileniu wywrotki przywoziły na wysypisko około 1500 metrów sześciennych śniegu dziennie. Dużo w tej sytuacji.

*

Leszek Bielski, dyrektor MPO, przez najcięższy tydzień urzędował wraz ze swoją ekipą po dwadzieścia godzin na dobę w bazie wydziału oczyszczania. Najtrudniejsza sytuacja była w Sylwestra i Nowy Rok. Musieli sobie radzić własnym sprzętem i własnymi ludźmi, kierowców z łóżek wyciągać, a kierowca też się wódki lubi napić, szczególnie w święta.

Powstał więc nabój śniegowy, na który żadne środki chemiczne nie radzą, nawet chlorek wapnia (tego zresztą mieli mało, sypali tylko podjazdy, skrzyżowania, przystanki). Tak się zaczęła akcja „Zima".

Już 2 stycznia przedsiębiorstwa, zobligowane odpowiednimi uchwałami, zaczęły podstawiać ludzi i sprzęt. W Nowy Rok trzeba było wydzwaniać po dyrektorach do prywatnych domów w tej sprawie. Ale pomoc w końcu nadchodziła. Z PZMot mieli mechaników i monterów na przykład. Z 60 przedsiębiorstw szły samochody i pracownicy.

Prasa codzienna pisała o solidarności ludzi w obliczu katastrofy meteorologicznej. Dyrektor Bielski nie miał czasu czytać gazet, ale twierdzi, że idzie też o to, iż władze nadały całemu zagadnieniu dużą rangę w tym roku. Żaden szef przedsiębiorstwa nie ośmielił się odmówić pomocy w takim układzie.

Trzeba zresztą powiedzieć, iż były firmy, które bez żadnego ponaglania od samego początku katastrofy robiły co mogły, jak choćby Komunalne Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych nr 1. Ale i tak nie dałyby rady, gdyby nie pomoc wojska, które wydelegowało do zrywania naboju śnieżnego z jezdni ciągniki czołgowe z ostrogami na gąsienicach oraz ciężkie pługi gąsienicowe, no i żołnierzy oczywiście.

*

Jeżdżąc ulicami Lublina w tamtym okresie, odniosłem wrażenie, iż mimo szczególnego dopustu atmosferycznego stan oczyszczenia miasta przedstawiał się nawet lepiej niż podczas znacznie łagodniejszych zim.

Potem usiłowałem swemu znajomemu tłumaczyć, dlaczego on codziennie mógł mieć świeże bułeczki w sklepie osiedlowym. Ale ów niepoprawny jegomość z filozoficznym spokojem cytował „Hamleta":

Niech ręczy z bólu ranny łoś,
Zwierz zdrów przebiega knieje,
Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś,
To są zwyczajne dzieje.

Ja myślę jednak nieco inaczej. W najtrudniejszym owym tygodniu, jak nigdy, odżyło w prasie i telewizji słownictwo walki i ciężkich zmagań. Sytuacja chwilami wydawała się beznadziejna. W takich układach Polak czuje się najlepiej. Kiedy wydaje się, że wszystko stracone i pogrzebane, wówczas my potrafimy udowodnić, iż jest właśnie odwrotnie i żadna zima z jej dopustami nam tu podskakiwać nie będzie.

Dobrze by jeszcze było, gdyby nas takie sytuacje czegoś uczyły i o czymś przekonywały. Że na przykład transport pracuje na styku zaledwie i to bardzo cienkim. Ale to już nieco inna sprawa.

Maciej Podgórski

W zaspie

JEDEN człowiek z łopatą przy odgrzebywaniu autobusu z zaspy nie mógł zrobić nic. Mógł odsypywać śnieg spod kół lub na drodze przed autobusem tyleż dla rozgrzewki, co bez skutku. Sprawa zaczynała być interesująca, gdy na pomoc wyjeżdżał pług śnieżny i także grzązł. Wówczas na drodze były już dwie maszyny, które należało wygrzebać, więc wysyłało się drugi pług. Ten podjeżdżał blisko, bo sporo drogi odsłonił pierwszy. Mijała mniej więcej godzina i stały już unieruchomione trzy wozy. Wówczas należało wysłać pomoc i w tym celu jechał trzeci pług. Kierowca trzeciej maszyny dojeżdżał, mijając dwa ugrzęzłe pługi, najbliżej zasypanego autobusu, bo na jakieś dziesięć, piętnaście metrów. Próbował robić to, co koledzy: dojeżdżał do zaspy, atakował lemieszem jej lewe obrzeże i odsuwał nieco śniegu na pobocze. Potem robił to samo z prawej strony, a potem znów z lewej. Pomalutku cofając i pchając przed sobą, odgarniał śnieg, aż do chwili, gdy lemiesz zarył się weń na dobre, opony kół powierciły kilkadziesiąt razy w miejscu i nic się nie stało więcej. Gdy to się działo, dyspozytorka MPO na pytania dyspozytorki z MPK odpowiadała przez radiotelefon, że do zasypanego autobusu wyjechały trzy pługi. Gdyby nie fakt, że autobus nie wracał z kursu, kłopot wydawałby się rozwiązany.

Słysząc w południe rozmowę obu pań, można było sobie wyobrażać że opisywany autobus linii 28, który przed świtem wyjechał w pierwszy kurs w kierunku Choin, utknął w kilometrowej długości zaspie. Nie trudno było tak sądzić, gdyż wiadomo, że praktycznie za szpitalem przy ul. Jaczewskiego rozpoczynają się przedmiejskie pola. Podobnie jest na Felinie, Zadębiu, w kierunku Snopkowa, Dąbrowicy Zemborzyc — by wymienić tylko kilka dalekich linii autobusów Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Lublinie. Z pól nawiewał bezustannie śnieg na jezdnię i po takich opadach, jak na przełomie grudnia i stycznia drogi owe były jeszcze długi czas nieprzejezdne.

Tymczasem na trasie w kierunku Choin, po utknięciu trzeciego wozu z lemieszem, wypadało czekać na pług wirnikowy. Kierowca z wozu zdążył w ciągu kilku godzin posprzątać w wozie, że wyglądał jak cacko. Silnik cały czas pracował, ogrzewając wnętrze autobusu bo maska była odsłonięta. Śnieg nawiewany z pól zasypywał koła jelcza coraz bardziej.

Zaspa, w której stał samochód, miała nie, jak mylne wyobrażenia podsuwały, kilometr długości, lecz trzydzieści metrów. Ostatni wóz z pługiem lemieszowym stał przed zwałami śniegu w odległości kilku metrów od autobusu.

Wreszcie pojawiła się nadzieja, że coś się zmieni w ciągu najbliższych kilkudziesięciu minut, gdyż od strony Choin dojrzano z daleka nadjeżdżający spychacz z RDP w Lubartowie. Powoli toczył się w stronę autobusu. Minęło pół godziny i spychacz rozgarniał śnieg sprzed wozu. Dopiero wówczas zaczęła się skuteczna akcja. Kierowca autobusu ucieszył się: „Roztańczy tę zaspę, roztańczy". Lemiesz ciągnika atakował zwały śniegu i odsuwał je daleko na pobocze. Niekiedy gąsienice przebierały w miejscu, ale to trwało sekundę i maszyna znów ruszała do przodu.

Droga została oczyszczona. Nareszcie mogła się przydać łopata do odgarnięcia śniegu spod kół autobusu. Kwadrans prób ruszenia z miejsca, kilku mężczyzn popchało autokar, który wreszcie wyjechał z zaspy. Spychacz zawrócił w kierunku ugrzęzłych samochodów z pługami.

Na tej trasie inny autobus MPK utknął podobnie kilka dni wcześniej, w Nowy Rok. Ale wówczas trwał jeszcze „atak zimy". Zaś opisana akcja zdarzyła się, gdy mieszkańcom centrum Lublina wydawać się mogło, iż nadszedł koniec z zimowymi kłopotami — ulice odśnieżone, autobusy kursowały, ciężarówki wywoziły śnieg z pryzm na chodnikach. Natomiast na trasach podmiejskich jeszcze w kilkanaście dni po wielkich opadach MPK miało podobne do opisanych kłopoty.

Ale były to już drobiazgi wobec sytuacji z dni tuż przed i po Sylwestrze. Wówczas plac zajezdni na Helenowie był zasypany śniegiem na wysokość pół metra, wywieziono sto ciężarówek śniegu. W zajezdni na Wojciechowie autobusy odkopywano z zasp jeszcze wyższych, aż po okna wozów. Praktycznie w tamte dni komunikacja miejska ograniczała się do „kręcenia się po centrum", jak to określił jeden z dyrektorów przedsiębiorstwa.

W wielu autobusach wyruszających w miasto zamarzały wszystkie układy, które mogły zamarznąć. W zajezdni nie wyłączano na noc silników w wozach. Podgrzewano je czym się dało — lampami lutowniczymi i wiecheiami umaczanymi w nafcie. Zamknięte zostały warsztaty prowadzące remonty kapitalne, a wszyscy ludzie zostali skierowani do utrzymania technicznej gotowości autobusów obsługujących miasto. Z ulic Lublina ściągnięto w owe dni około siedemdziesiąt wozów zasypanych lub z zamarzniętymi układami. Tylko jednego dnia na ulicach wylotowych w kierunku Lubartowa odkopywano siedem zasypanych autobusów komunikacji miejskiej. Dzwoniących z miasta pasażerów, którzy skarżyli się na spóźnienia do pracy z powodu złej komunikacji (!), dyrektor MPK odsyłał „do diabła", co — trzeba przyznać — było i tak łagodnym potraktowaniem.

Na stanowiskach, gdzie stale pracowano nad tym, by wozy mogły ruszyć w miasto, ludzie tyrali na dwie zmiany — po dwanaście godzin. Lubelska zajezdnia ma za mało stanowisk pracy, więc naprawiania samochodów dokonywano w znacznej części na dworze. Na skutek stale otwartych drzwi do garaży i warsztatów zaczęły zamarzać w nich kaloryfery. Z tras kierowcy wracali z obolałymi stawami rąk, gdyż kierownice słuchały się raczej kół skaczących po koleinach, niż woli ludzi.

Kierownictwo MPK przyznało, że ludzi w przedsiębiorstwie zaskoczyło tylko jedno — nagły spadek temperatury w ciągu kilku godzin o dwadzieścia stopni. To był najtrudniejszy moment, ale i wówczas załoga pracowała bardziej niż ofiarnie. Obiektywnie jednak dyrektor przedsiębiorstwa, który brał także udział w pracach wojewódzkiego sztabu, kierującego całością akcji na Lubelszczyźnie, przyznaje, że wszędzie była podobna mobilizacja, a np. kolejarze mieli o wiele więcej roboty.

Bronisław Kowalski

Nie dajmy się ...zamarznąć

STYCZNIOWA noc 1979 roku, tuż po Sylwestrze, godzina 3.30, Kazimiera Irga, dyspozytor nocnej zmiany w MPK, dzwoni do męża, do domu, budząc go na ranną zmianę.

Mąż nieprzytomnym z rozespania głosem kwituje żoniną pamięć, automatycznym ruchem jedną ręką zasłania ziewnięcie ust, potem zdejmuje piżamę, zimna woda na twarz, łyk gorącej herbaty i w płaszcz — hajda do roboty!

W tym samym czasie siedmioletnia córka drugiej dyspozytorki przewraca się z boku na bok, śnią jej się sanki i jakaś niebotyczna góra. Jej matka wyprawia w drogę 50 trolejbusów, wręcza kierowcom karty drogowe, informuje o sytuacji w mieście. O godzinie 3.30 na ulicach Lublina jest już w drodze około tysiąca ludzi zmierzających do pracy. Na samym Osiedlu Słowackiego naliczyłem około 200 świecących okien.

Pierwsi kierowcy MPK, samochody dostawcze, autobusy zabierające ludzi do pracy w odległych od miejsc zamieszkania okolicach, przemykające postacie, owinięte twarze przed dokuczliwym, zacinającym wiatrem...

Obok trolejbusów 120 autobusów wyjedzie tego ranka z zajezdni. Nocna zmiana w warsztatach robi wszystko, co w ponadludzkiej mocy, aby zmarznięte silniki doprowadzić do stanu używalności. Ludzie na przystankach przestępują z nogi na nogę, nocne autobusy z trudem torują drogę przez zaspy śniegu.

O 3.30 kierowca dostawczego stara wyjeżdża z bazy przy ulicy Wylotowej, aby dotrzeć do piekarni na Nałęczowską. On musiał wstać już o drugiej w nocy.

Jan Wieczorek, bo o nim mowa, całuje w czoła przed wyjściem dwoje swoich śpiących dzieci, 9-letniego Piotra i 13-letnią Ewę, czyni tak co noc od ośmiu lat, nie umie inaczej wyjść z domu.

Tadeusz Sobiecki, piekarz od urodzenia, pracuje w zawodzie od 30 lat, ojciec też piekarz. Zawód nocny, stan cywilny — żonaty, żona wiedziała za kogo wychodzi za mąż.

Lubelskie pieczywo należy do najlepszych w kraju, to ocena speców nie z Lublina. Spotykam jeszcze na nocnej zmianie jej kierownika, Sadurskiego, pracującego w tym fachu od 19 lat. Dwoje dzieci, 11 i 15 lat, ostatnio rzadko widuje ojca. „Widzi pan — mówi Sadurski — kierownicy są na awarie, ludzie nie pytają, ile godzin jeszcze muszą czekać na zmianę, bo zmiana może nie dojechać wcale, a chleb piec trzeba."

Na jednej zmianie w piekarni przy Nałęczowskiej pracuje 30 osób. Wypieką 17 ton pieczywa na ogólną potrzebę 700 ton dla miasta. 10 samochodów na 10 trasach rozwiezie to pieczywo do 216 sklepów Lublina. W jednym z tych sklepów przy ulicy Wileńskiej Teresa Wędrocha już od piątej rano liczy pieczywo i przyjmuje nabiał. Tak od dziesięciu lat, co drugą noc wstaje, bo koleżanki mają daleko i nie zdążą. A 2 000 bułek i 1 500 bochenków chleba policzyć to nie bagatela. Rozładować skrzynie, tak, wiele ton ciężaru przeszło już przez te szczupłe ręce...

„Czy to robota dla kobiety?" — pytam. „No cóż — odpowiada pani Wędrocha — na 10 etatów zatrudniamy 7 sprzedawczyń, brakuje ludzi do pracy."

Stanisław Kucharuk od 18 lat rozwozi pieczywo po mieście. Mieszka daleko, nie zawsze jest dowóz do pracy, jakże często własnymi nogami trzeba przejść 5 kilometrów do bazy. Oprócz tego, że jest kierowcą, zna się na pieczywie. „Proszę pana — mówi — chleb jest jak człowiek, jeden od drugiego różny".

Zima, zasypało nam Lublin, ale przecież nie ma różnicy, jaka pora roku przychodzi, trzeba wszystko, co jest do zrobienia, zrobić zwyczajnie, po prostu. Tysiące ludzi co rano zmierza do pracy. Przedtem wstępują do sklepów, kupują chleb wypieczony nocą, mleko przywiezione nocą. Wsiadają do środków komunikacji miejskiej, które wyjeżdżają z zajezdni, gdy jeszcze świta. Chciałbym to właśnie uświadomić tym, którzy nie muszą co noc zrywać swych zaspanych ciał z ciepłych łóżek. Kierowcy i konwojenci, sklepowe, pracownicy komunikacji miejskiej, kolejarze i pracownicy transportu w ogóle, służby drogowe, ci ludzie na co dzień, nawet gdy nie ma tych zwałów śniegu na naszych ulicach, normalnie, zwyczajnie pracują!

Aleksander Rozenfeld

P.S. Wypada mi w tym miejscu przeprosić pracowników Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Lublinie, bo w czasie, gdy byłem z nimi umówiony, tj. piątek 5 stycznia o godzinie 8 rano tkwiłem w zaspach na trasie Warszawa — Puławy...

INNE ŁANY

Maciej Podgórski

„JASNE łany" film polski jest dla mego pokolenia i następnych niczym legendarny potwór z Loch Ness — podobno istnieje, ale nikt go nie widział. Wojciech Włodarczyk, 29-letni mężczyzna, przewodniczący 29-letniej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Łanach pod Markuszowem, niedaleko Lublina, też filmu nie zna, lecz zaraz na wstępie rozmowy poinformował mnie, że to dzieło o zakładaniu ich spółdzielni.

Taka wiadomość jest dla dziennikarza zbyt piękna, żeby jej nie sprawdzić. Drogą rozmaitych pośrednictw udało mi się skontaktować telefonicznie z profesorem Stanisławem Wohlem, przed laty operatorem filmu „Jasne łany". Reżyserował Eugeniusz Cękalski, z pochodzenia lublinianin zresztą. W rolach głównych: Hanna Bielicka (żona Jąkały), Jan Kurnakowicz (Jąkała) oraz Kazimierz Dejmek (nauczyciel).

Dzieło sławetne kręcono w Sobocie niedaleko Łowicza. Tematem „Jasnych łanów" była — mówiąc językiem ofensywnym — walka o szkołę na wsi, w tle zaś sabotaż skierowany przeciw kolektywizacji. Premiera — 25 grudnia 1947 roku w Łodzi, a więc dwa lata przed założeniem spółdzielni w Łanach (19 stycznia 1950 roku). I oto upada pewna legenda, co nie znaczy, iż upada sprawa samej spółdzielni.

Z 39 członków-założycieli zostały dziś w ramach spółdzielni tylko cztery osoby, ale w sumie liczy ona 53 członków. Julia Wiśniewska, jedna z tej czwórki kobieta obecnie już niemłoda, mówi, że nie ci, którzy przystąpili do spółdzielni, lecz ci, którzy nie przystąpili nie dawali zaorywać miedz.

Julia Wiśniewska

Julia Wiśniewska po śmierci męża w 48 roku została na ośmiu morgach, lecz krewni męża zaczęli się prawować o tę spuściznę. Prawowali się i prawowali, aż w końcu adwokat poradził Wiśniewskiej, żeby wraz z morgami przystąpiła do tworzącej się w Łanach kooperatywy, a wówczas krewni będą musieli zaniechać. Wiśniewska przystąpiła, ale krewni nie zaniechali i po dwu latach ziemię wyprawowali od spółdzielni. Albowiem muszę wiedzieć, że dawniej nie to, co dzisiejsza rzetelność na każdym kroku. Dawniej i szacher-macher się zdarzały.

W każdym razie Wiśniewska, z ziemią czy bez ziemi, ze spółdzielni nie poszła, choć na przykład w 56 roku ludziska na gwałt zabierali co swoje i występowali ze spółdzielni. Została garstka ludzi i skrawki ziemi. Też dobrze, bo jak by wszyscy odeszli, to nie miałby kto robić, a Wiśniewska właściwie nie miałaby dokąd pójść. Spółdzielcy kłócili się, uciekali, nie było zgody. Wiśniewska się tam do nich nie wtrącała, nie nasłuchiwała, co oni robią. Jak ją postawili, miała pracę i szła pracować. W polu pracowała, co popadło, żniwa, buraki — jak mokry rok, trzeba ręcznie wyciągać — przy świniach, przy gnoju.

Zboże, siano, kartofle brało się za dniówkę i szukało kupca na to. Tyle się Wiśniewska dorobiła, co się pożywiła. A potem wzięła od spółdzielni pożyczkę piętnastoletnią na domek, który do spółki z córką i zięciem postawili w Markuszowie. Właśnie dwa lata temu pożyczka spłacona. Ile było tej pożyczki, sto, dwieście tysięcy? Tej pożyczki było trzydzieści tysięcy, i domek jest skromny, drewniak otynkowany, jedna izba z kuchnią, ogródka trochę.

Od przeszło dziesięciu lat Wiśniewska jest na rencie, 1400 miesięcznie, i wolno jej zarobić w spółdzielni do 24 tysięcy rocznie. Do dzisiejszego dnia tam się po trochu im robi, przy pieleniu, przy chmielu. Trochę żal, że się później nie urodziła, bo teraz, jak przyszły byki i kury, zarobki są złote, dniówka do dwustu złotych dochodzi i przekracza.

Gdy dwadzieścia tysięcy brojlerów żyje w jednym pomieszczeniu, to w pewnym momencie w ptactwo wstępuje diabeł, czyli instynkt agresji się wyzwala, i całe towarzystwo może się zadziobać na śmierć. Dlatego szyby w brojlerni muszą być pomalowane na czerwono. Czerwone światło działa na ptaki wybitnie uspokajająco, tak żeby one osiągnęły swoją wagę, zanim znajdą się na półmisku.

Przewodniczący Wojciech Włodarczyk powiada, iż oddaną w styczniu 77 roku, zmechanizowaną spółdzielczą brojlernię można pokazywać bez wstydu każdemu fachowcowi. Na dwu poziomach hoduje się tu 40 tysięcy kurków w jednym rzucie, a rzutów jest w ciągu roku pięć. Rzeka ptactwa dosłownie.

Dlaczego z brojlera nie da się ugotować rosołu, tylko mętną zupkę? Żaden kurczak hodowany w tuczu przemysłowym nie nadaje się na rosół, takie są prawa produkcji wielkoseryjnej. Inna rzecz, iż dużo zależy od paszy, której jakość w roku 78 była, niestety, jakby gorsza niż w roku 77. Gorsza pasza to większe jej zużycie, większe upadki ptactwa i mniejsze przyrosty. No i zysk dla spółdzielni słabszy. Nie mówiąc już o tym, że czasem kurak pachnie rybą, co dopiero trzeba „zabijać" przyprawą myśliwską.

Przewodniczący pamięta pewien feralny transport paszy. Zadali karmę i pijane kury, a potem zaczęły masowo padać. Oddali tę paszę do analizy, przyszedł wynik pozytywny: pasza w porządku! Jakieś cuda. No ale tak drastyczne przypadki raczej wyjątkowe, a z podobnymi kłopotami boryka się dziś cały świat przemysłowy, choć miarą optymizmu jest tu pewien absmak.

W 1978 roku spółdzielnia wyprodukowała 318 ton brojlerów i 119 ton z hodowli byków, to znaczy 100 cię-

Dwie kobiety

OBIE miały za sobą ponad trzy lata wspólnej przyjaźni, gdy nagle, w niewidzialnym punkcie, zderzyły się ich kobiece świadomości. Wtedy powstał problem, która z nich jest mądrzejsza. Młodsza, Dominika, zaczęła wmawiać tej drugiej, że jest głupia.

— Głupia jesteś — odpowiadała na każde odezwanie.

I to był powtórny zamach na autorytet. Tym razem trudniejszy do opanowania, gdyż nie ma sposobu na wytłumaczenie, że się nie jest głupim.

Za pierwszym razem rozmawiały poważnie, która z nich góruje nad drugą mądrością. Ale argumenty nie przekonały Dominiki, więc trzeba było posłużyć się demagogią.

— Przyjmij za pewnik — powiedziała starsza — że na razie jestem mądrzejsza od ciebie.

Postawiła nacisk przy słowach „na razie". Dominika przyjęła to, ale z wahaniem. Umyśliła sobie udowodnienie czegoś wręcz przeciwnego. Gdy tamta zajęta była w kuchni gotowaniem obiadu, Dominika przyszła z pokoju i postawiła zaczepne pytanie. Wymyśliła zawikłany problem, na który nie istniała rozsądna odpowiedź, więc starsza przyznała się, że nie wie o co chodzi. Młodsza odeszła w milczeniu.

Po chwili przyszła z podobnym pytaniem i ta druga znów nie znalazła odpowiedzi. Gdy za trzecim razem zdarzyło się to samo, sprawa została uznana za zakończoną, a triumf za uzyskany.

— A widzisz — powiedziała Dominika — mówiłaś, że jesteś taka mądra.

— Nie mówiłam, że jestem taka mądra, tylko mądrzejsza od ciebie — odrzekła tamta.

Tak zakończył się pierwszy zamach. Przy drugim, gdy po raz kolejny padło: „Głupia jesteś", wyglądać zaczęło na to, że w małym mieszkaniu nie ma miejsca dla dwóch kobiet. Niewidzialne nie dawało się uchwycić. Poważne rozmowy nie skutkowały, prośby też nie. Na tłumaczenia Dominika reagowała nieodmiennie:

— No dobrze, ale ty i tak głupia jesteś.

Ich przyjaźń wystawiona została na próbę. Pewnego dnia młodszej zaciął się zamek w torebce. Przyszła więc poprosić o pomoc. Starsza spojrzała na nieruchomy suwak i stłumiła pierwszą chęć pomocy.

— Ja? — zapytała. — Ja mam ci pomóc? Ja przecież głupia jestem. Nie wiem, jak się to robi.

Dominika odeszła, pierwszy raz zaskoczona uderzeniem jej własnej broni. Za drugim razem poprosiła o poczytanie książki. I, jak poprzednio, usłyszała, że ona nie potrafi, bo jest głupia. Stłumiła w sobie porażkę, ale długo nie wytrzymała. Podczas kolejnej odmowy stanęła przed nią gniewna i tupiąc nogami wołała:

— Nie jesteś głupia! Nie jesteś! Nie mówiłam tak.

A pewnego razu starsza usłyszała z pokoju młodszej mruczenie:

— Głupia, głupia.

— Co, co, co? — zawołała.

— No, ta lalka taka głupia — odpowiedziała Dominika — nie mogę sobie dać z nią rady.

— Bo myślałam, że to do mnie.

— Do ciebie, mamusiu? Gdzieżbym śmiała — zaprotestowała Dominika.

Pomiędzy tymi dwiema kobietami jest duża różnica wieku. Jedna ma dwadzieścia osiem lat, druga cztery i pół. Co kilka miesięcy to, co je łączyło dotąd ulega zmianie. Jedno tylko pozostaje stałe — że starsza jest matką, a młodsza córką. A także — córusią, córunią, córeczką. Dzieckiem.

To nie było tak, że starsza o niczym innym nie myślała, tylko o dziecku. Nie miała natchnienia matki-karmicielki. I to się potwierdziło podczas ciąży. Bo najpierw ciągle miała nudności, potem ważyła ze sto kilo. Brzuch miała od pierwszej chwili pod nosem prawie. Bardzo nieprzyjemne, jej zdaniem. Są panie, które to lubią, ale ona się nie pasjonuje stanem błogosławieństwa. Człowiekowi się wydawało, że taki już pozostanie. Wreszcie przestała wierzyć, że cokolwiek urodzi, tylko że się będzie toczyć jak beka do końca życia.

Rodzić szła „ze śpiewem na ustach". Bo jej mądre koleżanki powiedziały, że to nic takiego. Dopiero potem przekonała się na własnej skórze...

O porodzie nie da się opowiedzieć. Po prostu leżysz i rodzisz, wszystko cię boli, nawet nie wiesz, co się dzieje. Drzesz się, czekasz kiedy się skończy. Natomiast fajne uczucie jest po porodzie — jakby człowiek świat zbudował na nowo. A co ciekawe: bardzo chce się ręce pod głowę założyć. W ogóle nie do wytłumaczenia uczucie. Gdy się urodzi, to rozpiera człowieka radość i duma. Człowiek chce się rozciągnąć, rozeprzeć, jak basza dłonie pod głowę podłożyć. A nie wolno. Przychodzi położna i krzyczy, bo coś się rozciąga w brzuchu. No i potem jak przynoszą takie małe nie wiadomo co i się wie, że to moje...

Czasem sobie myślała, że gdyby przyszli po dwóch, trzech miesiącach i powiedzieli: „Bardzo panią przepraszamy, pomyliliśmy się, to nie pani dziecko", to by człowiek nie oddał. Za nic.

Mąż przyniósł córkę ze szpitala. Dosłownie na sztywnych rękach ją trzymał, a gdy położył na tapczanie, nachylił się i mówił:

— No, córeczko, powiedz „tata".

Dominika miała wtedy cztery dni.

— Pragnęłam dziecka zaraz po urodzeniu — mówi matka. — Człowiek wiedział, że odwalił kawał roboty i myślał: „Dobrze, że ono jest".

Kiedyś u siebie w biurze ona powiedziała, że dziecko jest po to, by było niemęczące i przyjemne. Co miało znaczyć, że dla dziecka nie należy się bezgranicznie poświęcać. Panie, które to słyszały, rozgniewały się i bardzo protestowały. Mówiły, że żyje się tylko dla dziecka, że to cała radość życia, że dla dziecka trzeba się poświęcać, od ust sobie odejmować na dziesięć deka szyneczki. Jej dziecko je pasztetówkę, gdy nie ma szyneczki, a jak jest, to jedzą obie.

Są matki, które mówią o swoich dzieciach w tonacji: ti, ti, ti, tiu, tiu, tiu. Opowiadają: „Proszę panią, ono mi wczoraj zrobiło kupę, ono mi je kaszkę, ono mi to, ono mi tamto". A ono nie robi „mi" tylko sobie. Dziecko bardzo dużo rzeczy robi tylko sobie. Ona oduczyła się takiego sposobu traktowania swojej córki. Było to, gdy mała kobieta miała siedem miesięcy. Przychodziły „ciocie" i prosiły: „Zrób tosi-tosi". Wtedy matka myślała zachwycona: „Ależ mi geniuszek rośnie. Niesamowite." Bo mała zawsze robiła tosi-tosi. Dopiero gdy matka sięgnęła po książkę i przeczytała, że mały człowiek w tym wieku robi takie i inne jeszcze rzeczy, zasmuciła się troszkę, że rośnie prawidłowo rozwijający się człowieczek, a nie geniuszek.

Gdy młoda kobieta miała dwa lata, zaczęła mówić. Całymi zdaniami. A nawet „sz" i „cz" mówiła. I znów były zachwyty, dopóki dziadek nie wkroczył ze znajomością rzeczy:

— Ma dwa lata i powinna mówić. Trzeba by się martwić, gdyby nie mówiła.

Od tamtej pory matka przestała się nadmiernie entuzjazmować swym „małym geniuszkiem". Natomiast postanowiła traktować poważnie małą kobietę. Sama sobie tego nie wymyśliła. Dopomógł jej Korczak, w książce którego przeczytała zaskakujące twierdzenie, że człowiekiem jest się od samego początku, a nie dopiero w pewnym wieku. Odtąd młodsza zaczęła mieć tak samo równe prawa, jak starsza. Różnica polega jedynie na tym, że starsza ma trochę więcej tych równych praw. Ale młodsza traktowana jest w domu równie poważnie, jak inni domownicy.

Jedno z praw powiada, że córka nie powinna się bać rodziców. Inne, by nie nakazywać jej rzeczy, których się samemu nie znosi. Starsza z kobiet nie lubi robić czegokolwiek pod groźbą czy przymusem i nie stosuje tych metod wobec młodszej. Poważne traktowanie to także umiejętność

Kamena str. 4

żarówek mięsa, czym można by wyżywić dwie duże gminy.

Wojciech Włodarczyk w roku 1975 skończył wydział rolny Akademii Rolniczej w Lublinie i stanął do pracy jako kierownik produkcji spółdzielni w Łanach, której 8 marca 1976 roku został przewodniczącym. Kiedy przyszedł do tej roboty, spółdzielnia liczyła 27 członków (obecnie blisko dwa razy tyle) i były dwa obozy — jedni rozrabiali, drudzy pracowali. Jako przewodniczący zaczął przeprowadzać porządki, rozrabiaczy uspokajać, i wtedy któraś z pracownic rzuciła się na niego z pazurami, tak że doszło do kolegium pokazowego w Łanach. Z inną po sądach pracy się ciągał i też wygrał sprawę. Z byłym przewodniczącym się dogadał, który teraz brygadzistą w spółdzielni.

W ogóle uspokoiło się. Powstał jeden obóz — pracujących. Z 21 tysięcy brojlerów doszli do 40 tysięcy (w jednym rzucie). Z 52 byków rocznie do 300. Tylko martwią grunta spółdzielcze, rozproszone w 137 kawałkach, rozłożone w 10 wsiach. Planowanej na rok 1979 komasacji oczekują jak zbawienia. W każdym jednak razie jest taka sprawa, że nikt z indywidualnych już się z gospodarki spółdzielczej drwić nie ośmieli, a niejeden — wzorem spółdzielni — własny kurnik stawia. I dziś już nie przyjmuje się do spółdzielni każdego, kto tylko zechce, ale tych jedynie, którzy są faktycznie potrzebni.

Gdy małżeństwo pracuje w spółdzielni, to taka rodzina może zarobić do 200 tysięcy złotych rocznie. Niektórzy mają prywatne działeczki ogrodnicze, ale powoli rezygnują z owych paru skib ziemi. Przewodniczący uważa, iż dobrze i wydajnie pracować, wystarczy do syta roboty na 8—10 godzin w spółdzielni, a jeszcze czasem trzeba się potrudzić przy wykańczaniu własnych domków w Markuszowie. Znaleźć czas na urlop, wycieczkę zagraniczną. W tej sytuacji nie tak wielu chętnych na rycie w prywatnym ogródeczku, które powoli staje się ulubionym zajęciem ludzi z miasta.

Jak należy kierować ludźmi? Na dystans, ale bez huku. Zresztą w spółdzielczości rolnej demokracja bardzo duża. Decyzje są kolektywne i walne zgromadzenie decyduje o kierunkach produkcji, przyjmowaniu i zwalnianiu członków, planach produkcyjnych. W tym względzie możliwości przewodniczącego czy zarządu są ograniczone.

Tak się na przykład składa, że walne zgromadzenie spółdzielni w Łanach zatwierdziło 5 dniówek kary (około 1000 zł) za pierwsze pijaństwo podczas pracy. No i zlikwidowano alkoholizm na terenie zakładu z pomocą walnego zgromadzenia, acz nie bez sugestii przewodniczącego.

Wojciech Włodarczyk mieszka wraz z rodziną na I piętrze budynku, którego parter zajmuje zarząd spółdzielni. Mieszkanie przewodniczącego liczy dwa pokoje z kuchnią, łazienką oraz spiżarnią. 63 metry kwadratowe w sumie.

Zostaję zaproszony na pokoje, gdzie odnotowuję: ładne regałowe wyposażenie, telewizor polski kolorowy. W łazience pralkę jugosłowiańską. W posiadaniu rodziny ponadto „maluch". Czegóż jeszcze prywatnie potrzeba przewodniczącemu? Najwyżej poważniejszego samochodu. Na swoim stanowisku zarabia Wojciech Włodarczyk około 13 tysięcy miesięcznie plus premia od dochodu podzielnego (za rok 1977 53 tysiące).

Spółdzielcy z Łanów chcieliby w roku 1979 zacząć budowę siedmiu kurników typu „Gostyń". Dokumentacja prawie jest, lokalizacja i zezwolenie na budowę też. Czekają na uruchomienie obiecanego centralnie limitu, tak że można o tym wszystkim już pisać raczej bez obawy zapeszenia sprawy. Ta inwestycja dałaby docelowo około 750 ton mięsa kurzego rocznie. I trzeba by przyjąć minimum 20 nowych członków do spółdzielni.

Przewodniczącego niedawno chciano awansować, oddać mu we władanie znacznie większe gospodarstwo. Szykowała się, prawdę mówiąc, posada naczelnika w jednej z gmin województwa lubelskiego. Włodarczyk wykręcał się jak piskorz i przekonał władze do swego pozostania w Łanach. W końcu jednak większe pieniądze na stanowisku przewodniczącego. No i, powiada, w kwestii tych nowych kurników już ponagrywał ludzi, zmontował sprzyjające układy, i obawia się, że gdyby teraz odszedł, to sprawa mogłaby się rozlecieć, a tego by sobie nie darował i spółdzielcy by mu nie darowali.

Czego by sobie życzył w nowym roku? Żeby takie detale jak gwoździe, młotki, obcęgi, widły, wiadra, ręczniki oraz herbatę można było kupić na rachunek w każdym sklepie GS bez gimnastyki i wybiegów. Tego by sobie życzył.

W nawale informacji o ilości brojlerów, hektarów, pieniędzy i byczków (niektórych tak dorodnych, że aż eksportowych) zapomnieliśmy porozmawiać o tym, jakaż to odmiana ludzkiego szczęścia wyrasta na glebie tej spółdzielczej pracowitości i dobrobytu. A może chodzi tylko o to, iż jest robota (ciężka, bo w kurniku smród, zaś w oborze zimno), którą trzeba wykonać, potem obiad i telewizor, przed którym można się zdrzemnąć. Może powstałby z tego scenariusz „Innych Łanów", prawdziwszych niż „jasne" i nie całkiem prostych.

(Zdjęcia autora)

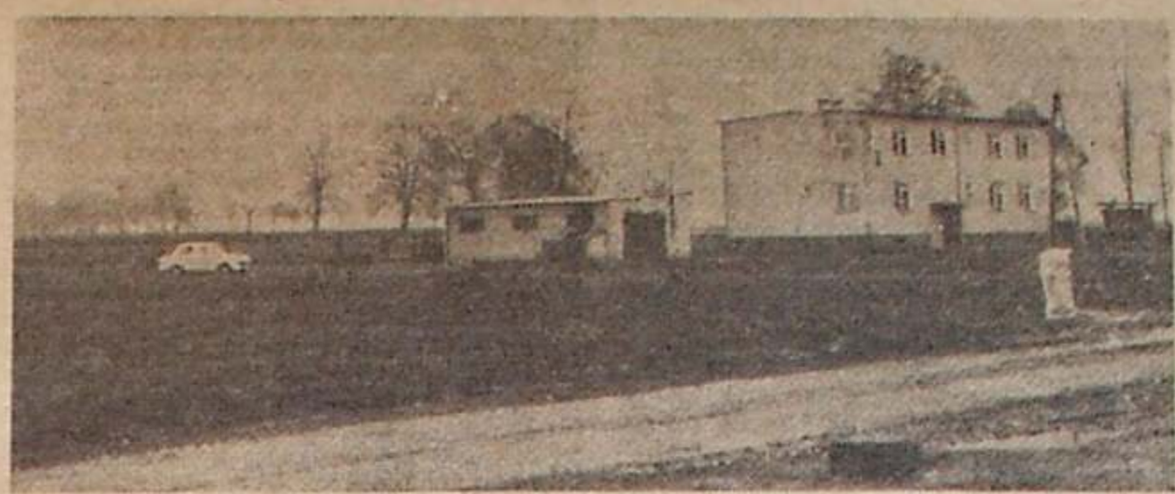

Budynek zarządu spółdzielni

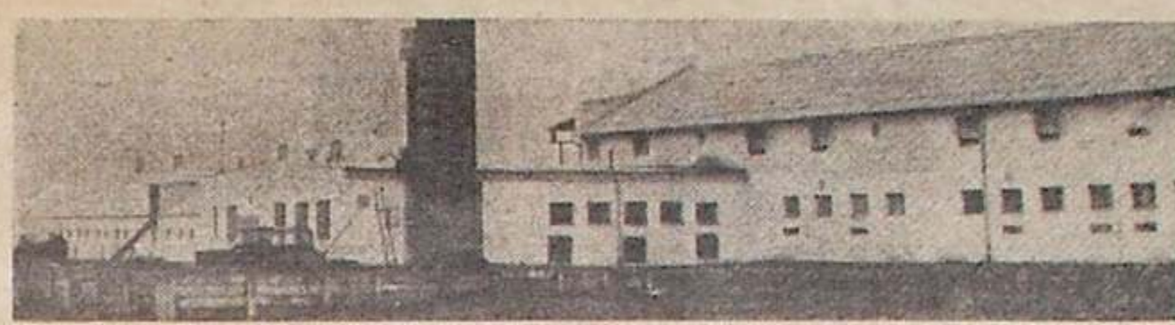

Kurnik, którym można się pochwalić

w różnym wieku

Bronisław Kowalski

przeproszenia małej kobiety. Ona ma też takie samo prawo być w złym humorze jak dorosła. Pewne decyzje domowe obie panie uzgadniają wspólnie. Z tych małych na przykład: czy mają być na obiad kotlety mielone czy schabowe. Z poważnych...

...Poszły kiedyś obie do sklepu futrzarskiego. Starsza chciała kupić sobie kożuszek. Był nawet jeden, który jej się spodobał. Zanim jednak sięgnęła po pieniądze, zapytała młodszej:

— Ładnie mi w tym?

— Oj, nie za bardzo — skrzywiła się młodsza.

— No, jak to? — powiedziała starsza patrząc w lustro. — Zobacz jak ładnie wyglądam.

— Może i ładnie, ale nie za bardzo — oceniła młoda ostatecznie.

Wyszły bez kożuszka. Panie, które były wówczas w sklepie, oniemiały. Przyglądały się matce jak nienormalnej osobie. I może to była chwilowa fanaberia dziecka. Może, ale ważne, że jej się nie podobało.

Pewnego razu młodsza kobieta opowiadała po powrocie z przedszkola o niegrzecznej dziewczynce, która uderzyła mamusię i mówiła do niej brzydkie słowa.

— Wiesz mamusiu — zakończyła opowieść — ale tobie się udało.

— Co mi się udało?

— Bo masz taką grzeczną córeczkę. Ja bym nigdy tak nie zrobiła jak ta niegrzeczna koleżanka.

W ogóle bardzo fajnie żyje się jej z córusią. Fajnie, ale trzeba bardzo ostrożnie, bo ona jest doskonałym obserwatorem. Rośnie i widzi. Więc matka Dominiki nie chce być, jak się starają niektórzy rodzice, alfą i omegą dla swego dziecka. Gdy czegoś nie wie, mówi: „Nie wiem", a nie: „Nie garb się". Nie należy się ustawiać na zbyt wysokim piedestale, myśli sobie. Bo dzieciak urośnie i będzie krytykować. Gdy się stoi niżej, człowiek nie ma z czego spadać. Gdy się stoi za wysoko, upadek bywa bolesny.

Potem nie pomogą wyrzekania: „Po nocach dla ciebie nie spałam". Lepiej jest ze sobą dobrze żyć, a nie kupować pomarańcze i robić z tego poświęcenie na całe życie.

— Jak kupię dwie pomarańcze, to jedną zjem, spokojna głowa. A jak ona dostanie od ojca gumę do żucia, to połowę mi przyniesie.

Dwie kobiety żyją ze sobą tak, że jedna ma rozumieć drugą. Gdy starsza wraca z pracy, młodsza biegnie do drzwi:

— Mamusia przyszła, kochana.

A czasem starsza jest w złym humorze. Człowiek ma takie dni, że psa kopnie. I wtedy mówi Dominice:

— Córciu, matka jest zła. Idź się bawić.

— Na mnie zła jesteś?

— Nie na ciebie.

Za pół godziny mała przychodzi i pyta:

— Przeszło ci?

— Nie.

Więc mała kombinuje:

— Może byś się kawy napiła?

Lecz czasem trzeba ukrywać swoje humory. Trzeba uważać, by się na dziecku nie wyładować. Kiedyś starsza zrobiła ten błąd, a dziecko:

— Taka matka. Ja się chyba wyprowadzę stąd.

I starszej z kobiet było wstyd. Powiedziała:

— Wiesz córeczko, niesłusznie cię skrzyczałam.

— No tak, ale czemu krzywdzisz dziecko? — powiedziała młodsza kobieta.

Ta młodsza potrafiła też powiedzieć:

— Nie denerwuj mnie, bo zaraz rozboli mnie głowa.

No, ładnie — pomyślała starsza — ciekawe kto do niej tak mówi. Od kogo to usłyszała? I co się okazało? Od matki.

Obie się siebie uczą i obie potrafią się zaskakiwać. Pewnego razu w babskiej kłótni poszło im o niesprzątnięte zabawki. Matka wpadła do pokoju wściekła. Stanęły naprzeciw siebie. W oczach małej zaciekły upór. I wtedy matka powiedziała, jak mogła najłagodniej:

— Córuniu, proszę cię, posprzątaj, ty tak ślicznie sprzątasz.

A dziecko, które oczekiwało lania, zdziwione zabrało się do sprzątania i w minutę było po wszystkim. Bo tak jest, że jak jedna chce bez krzyku, to druga musi tak samo. Kiedyś mała, wygłaszając swoje racje, uderzyła pięścią w stół. Ojciec zrobił wielkie oczy, a ona mu na to:

— To przecież od ciebie się nauczyłam.

I od tamtej pory nie kłócą się przy dziecku.

A mała uczy ich miłości do siebie.

...Kiedyś w środku nocy przywędrowała ze swojego pokoju do rodziców. Patrzą, stoi obok mały człowieczek i tacha za róg olbrzymią poduchę.

— Czy mogę się koło was położyć? — pyta.

Macierzyństwo — mówi starsza kobieta — to jest stan, w którym trzeba myśleć. Dużo trzeba myśleć, gdy się ma małe dziecko. Myśli się na przykład: „Ja prawie nigdy nie bawię się z nią". I wtedy w chwilach refleksji, pamięć odsłania, zbyt częste odpowiedzi na prośby dziecka o poczytanie książki: „Trochę później, nie mam czasu". Odsłania, że na zabawę z dzieckiem ma się „chwile łapane".

Rozmawia się z nią, zawsze coś robiąc. Ona przychodzi do kuchni, a ja gotuję obiad, ona w pokoju, a ja sprzątam. Najczęściej coś dodatkowo robię, zamiast tylko rozmawiać z nią. Dziecko mało nie wyjdzie z siebie, jest zachwycone, gdy mu się pięć minut poświęci. Tych wspólnych minut mamy chyba za mało.

Wydaje mi się, że na razie to się na niej nie odbija, ale może się w przyszłości zemścić. Człowiek zamiast dziecku coś opowiedzieć, gdy ono idzie spać, ogląda głupi film w telewizorze. A mała otrzymuje swoje codzienne: »Śpij już, śpij«.

I to są macierzyńskie wyrzuty sumienia. O innych już było: gdy się na dzieciaka nakrzyczy niesłusznie, a ono biedne, przerażone, nie wie o co chodzi. I jak myszka cichutko i szybciutko wymyka się do siebie. Starsza kobieta czuje się wtedy okropnie, bo nie wiadomo jak dzieciaka przeprosić, Tak, bardzo trzeba myśleć, gdy się jest matką...

...Kiedyś powiedziała młodszej kobiecie, że się wyprowadzą we dwie.

— Bardzo dobrze, mamusiu. A zabawki będę mogła wziąć?

— Tak.

— A pies przeprowadzi się z nami?

— Tak.

— Fajnie mamusiu. I tatuś się z nami przeprowadzi.

Tak oto młodsza kobieta znalazła proste wyjście z niekorzystnej sytuacji.

Trzeba myśleć, gdy padają pytania przy zabawie klockami:

— A z czego się buduje człowieka?

Trzeba myśleć...

...Starsza przygotowywała mięso na obiad. Młodsza zapytała:

— Co to jest?

— Kotlety.

— Ale co to jest?

— Kotlety. Nie widzisz?

— No dobrze, mamusiu, kotlety. Ale co to żyło z tego?

Obie kobiety są w tak różnym wieku, że starsza czasem myśli, co z młodszej wyrośnie. Chciałaby, żeby była porządnym człowiekiem. Żeby coś osiągnęła. Nie, nie „po trupach", ale żeby coś miała. A jak nie osiągnie, to i tak zawsze będzie jej dzieckiem.

— Chciałabym, żeby była mądrym człowiekiem — mówi starsza z kobiet. — Nawet jeśliby miała ulice zamiatać, niech to robi mądrze. Właśnie dlatego, że jest sama, później z braku rodzeństwa będzie musiała liczyć tylko na przyjaciół. I musi umieć ich zdobywać. Jeśli będzie mądrym człowiekiem, to nauczy się brać od życia i dawać innym przyjaźń. Już widzę, że jest bardzo koleżeńska. Zresztą każda matka myśli, że jej dziecko jest wspaniałe. I bardzo dobrze.

Kamena str. 5

NA ŚCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (V)

Z ziemi włoskiej do Polski...

Mirosław Derecki

POD koniec września 1943 r. wojskowy obóz „P" Reception Camp położony w Północnej Afryce, około dziesięciu kilometrów od Algeru, w dolinie rzeczki Oued Kerma, zapełnił się różnojęzycznym tłumem żołnierzy w zielonych beretach i z emblematami Combined Operations na rękawach mundurów. Dominował język angielski, ale słyszało się również narzecze walońskie, flamandzkie, a najwięcej chyba zdziwienia wśród tubylców budziła zupełnie dla nich egzotyczna mowa serbska, chorwacka i polska. Trzon obozowej społeczności stanowiło angielskie 9 Commando. Poza nim, w „P" Reception Camp rozłożyły się niektóre „troops" 10 Międzyalianckiego Commanda: kompania belgijska, polska oraz część kompanii jugosłowiańskiej i 3 kompanii tzw. mieszanej. Te cztery grupy tworzyły razem oddział wydzielony (detachment) 10 Commando.

Polacy przybyli do Algeru na pokładzie statku „Cameronia" 23 września i od razu zaczęli się zagospodarowywać na nowym terenie, poznawali okolicę i szukali... innych Polaków. Przede wszystkim jednak trenowano energicznie wśród skał i na górskich bezdrożach, spodziewając się, że podobne warunki znajdą komandosi w Italii. Bo już oczywiste było, iż Afryka jest tylko etapem przejściowym przed wkroczeniem do akcji na froncie włoskim. Nie było końca rozmowom na temat lądowania na Sycylii i akcji komandosów pod Salerno. Szykowała się akcja na Termoli. Polskim komandosom przemknęła ona tuż przed nosem — podobno rozważano projekt włączenia tam również naszej „6-th Troop".

Indywidualne wyprawy do pobliskiego Algeru doprowadziły do odkrycia na przedmieściu El-Biar kolonii polskiej składającej się głównie z rodzin wojskowych. Większość stanowiły kobiety, dzieci i młodzież, która uczęszczała do zorganizowanej przez wychodźców polskiej szkoły i polskiego gimnazjum. Przebywali w Algerii już od 1940 r. i przybycie polskiego oddziału powitali jak objawienie.

Niektóre polskie spotkania miały wymiar humorystyczny. Inne tchnęły prawdziwym tragizmem:

Maszerujemy boczną, krętą drogą. Czerwony tuman kurzu wlecze się za nami, znacząc ślad naszej wędrówki. [...] Znużenie próbujemy pokrzepić piosenką. [...] Naprzeciw nas idzie niewielki oddziałek z łopatami i kilofami. Zdarte i poszarpane mundury „feldgrau" na grzbiecie, łapcie na nogach, niemieckie czy włoskie czapki na głowach — to jeńcy „Afrika Korps", używani do robót przy angielskich czy amerykańskich obozach.

I nagle ów oddział podchwytuje słowa przez nas śpiewane. Z początku cicho i jakby nieśmiało, później coraz głośniej i żywiej.

To Polacy z Pomorza, Poznańskiego i Śląska, wzięci do armii niemieckiej [...] I oba oddziały — ten z bronią na ramieniu, i ten, który broni już nie ma, mijają się, śpiewając tę samą polską piosenkę wojskową.

Zamieniamy uśmiechy — mamy niezłomną nadzieję, że niedługo w Polsce będziemy nosić znów te same mundury i maszerować w tym samym szeregu.

★

Pewnego niedzielnego poranka na rozpalonej słońcem drodze wiodącej do naszego obozu, ukazała się biała postać. Szaty całkowicie arabskie, wąs i broda jak u prawowiernego muzułmanina, czerwona „checha" na głowie, i tylko różaniec z krzyżem zawieszony na piersiach wskazywał na inną, obcą tubylcom wiarę. Jakież było nasze zdziwienie, gdy przybysz zagadał do nas czystą, chociaż trochę ewangeliczny styl przypominającą, polszczyzną. Był to Polak-misjonarz z zakonu Ojców Białych, z górą 15 lat mieszkający w Afryce. Gdy dowiedział się o przybyciu polskiego oddziału, przeszedł pieszo kilkanaście kilometrów, by móc z nami porozmawiać i odprawić w obozie mszę świętą. Krępował się tylko mówić dużo, gdyż jak twierdził, przez długi czas pobytu wśród obcych zapomniał języka i dopiero przed odwiedzinami u nas zaczął czytać głośno polską ewangelię, by przypomnieć sobie dźwięk ojczystej mowy.

★

W miasteczku ulicą szedł zarośnięty, z nieogolonym długo zarostem człowiek. Ciemna, opalona cera nadawała mu pozór Araba i tylko duże, niebieskie oczy zdradzały europejskie pochodzenie. Naprzeciw szedł jeden z naszych oficerów. Przechodzień spojrzał na gwiazdki, na orzełka na zielonym berecie i nagle zatrzymał się: stanął na baczność, wyprężony jak struna do wytartej furażerki przyłożył dwa palce starym, polskim zwyczajem i głośno zameldował: „Panie poruczniku, strzelec NN melduje posłusznie swój pobyt w mieście." [...] A nasi chłopcy przybyli ze Szkocji dziwili się trochę temu, że Polak, chociaż nikt mu o tym nie przypominał, chociaż przez trzy lata z górą nie ćwiczył musztry i chociaż tu nie ma żandarmów, którzy zapisywaliby za nieoddawanie honorów na ulicy — postąpił tak, jak postępował każdy żołnierz w kraju. [1]).

Życie obozowe w Północnej Afryce sprowadzało się przede wszystkim do nieustannego treningu, do zżywania się z innymi oddziałami komandosów w oczekiwaniu na przyszłe wspólne zadania bojowe. Życie towarzyskie ogniskowało się dla Polaków w dzielnicy El-Biar. Urządzano wspólne zabawy, wieczorki, imprezy artystyczne. Po latach spędzonych na obczyźnie mieli tu chłopcy w zielonych beretach jakby posmak własnego domu, własnego kraju...

10 października obchodzili uroczyście swoje pierwsze kompaniine święto: rocznicę wejścia w skład 10 Międzyalianckiego Commando. Pod rozgwieżdżone afrykańskie niebo ulatywały ich pieśni i kierowały się daleko na północny wschód ku Polsce. A w tym samym czasie na odległej Białorusi w obwodzie mohylewskim we wsiach Ładiszcze, Zachwidowo, Budy, Pankowo, Nikołajewka również polscy żołnierze wybiegali myślami ku zachodowi, gdzie w dali gdzieś tam za obsadzoną przez Niemców linią, rozpięta między wsią Połzuchy a wzgórzem 215,5 na północny zachód od miejscowości Lepino, czekała na nich Polska. I oni też zapewne śpiewali i może te obydwie pieśni krzyżowały się gdzieś nad pogrążonym w ciemności krajem.

W dwa dni później 12 października 1943 r. 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki ruszyła do ataku...

Na afrykańskim wybrzeżu panowała cisza. Tutaj wojna już się skończyła. W owej ciszy lekarz Samodzielnej Kompanii Komandosów, ppor. Bolesław Świtalski, układał strofy wiersza „Na nocnym patrolu":

(...) A my w nocy zgubieni
Każdy w własnym swym
świecie —
Nurtem ciemnych wskroś cieni
Szlak nasz zwiewny się plecie.

•

Dni płynęły, a oczekiwany z niecierpliwością wyjazd nie następował. Nadeszła wiadomość o akcji komandosów brytyjskich na Termoli i to jeszcze bardziej skwasiło humory. Zaczął też dawać się we znaki afrykański klimat. Brak zachowywania ścisłej higieny przy spożywaniu południowych owoców objawił się licznymi wypadkami dyzenterii, w pewnym okresie do wojskowego szpitala w Abbiar trafiło aż dziesięciu żołnierzy oddziału.

Młode temperamenty ponoszą: przełożeni muszą gorączkowo łatać pękającą dyscyplinę. Dowódca drugiego plutonu, por. Zalewski, notuje bez osłonek na kartach dziennika bojowego: *Wyjazd nasz do Włoch i użycie w akcji zaczyna się przedłużać. 9-te Commando odchodzi z obozu (wyjeżdża do Włoch — domyślamy się). Nastrój oddziału z powodu czekania [...] pogarsza się gwałtownie. Trudno opanować pijaństwo i — co za tym idzie — awantury, prym wiedzie pluton mój. Nie pomaga przemawianie do rozumów i ambicji, pogadanki na temat ogólnej sytuacji wojennej i cierpliwości, ostre „o.p.r." d-cy kompanii. Rozpoczyna się seria awantur znanych całej kompanii, a więc:*

— głośna afera pijańsko-nożowa — pchor. B.

— pijańsko-bojowa — pchor. J. H.

— pijańsko-ogniskowa — st. strz. Wel. i St.

— pijańsko-sztyletowo-amerykańska — st. strz. Uch. i St.

— pijańsko-słownikowo-religijna — st. strzelca A.

Pluton pije i awanturuje się. Rozpoczynają się raporty karne [2]).

Niech nam wdzięczna wyobraźnia podpowie obraz tych mołojeckich ekscesów, tak umiejętnie i tak celnie usystematyzowanych przez porucznika Zalewskiego. Autor niniejszego opracowania nie będzie też publicznie rozszyfrowywał przejrzystych dla niego kryptonimów bohaterów „pijańsko-bojowych" wydarzeń bo! niby po co? Powyższą notatkę publikuję wszak nie ze złośliwości, lecz gwoli pokazania prawdy o ludziach przepojonych patriotyzmem i umiłowaniem ojczyzny ale też będących osobnikami z krwi i kości. Zresztą, kiedy tylko zaświtała ponownie wieść o wyjeździe, nastrój wśród żołnierzy zmienia się diametralnie a porucznik może zanotować z satysfakcją: *Przyjazd Naczelnego Wodza* (gen. Kazimierza Sosnkowskiego — przyp. MD) *do Algeru, konferencja sztabu N. W. ze sztabem gen. Eisenhowera oraz rozmowa osobista N. Wodza (...) z gen. Eisenhowerem, daje nam trochę lepszych wiadomości, jeżeli chodzi o nasze użycie. Możliwość szybkiego wejścia do akcji, wysokie wymiary kar przez d-cę komp. oraz znana plutonowi moja p o g a d a n k a (podkr — MD) zmieniają nastrój. Wiadomości każdego dnia nadchodzą lepsze. Wreszcie dnia 16.11. oficjalny rozkaz o ruchu. Służbowo dowiadujemy się, że wyjeżdżamy do Włoch. Zapanowała ogólna radość. Skończą się fatalne warunki obozowe — pogoda w ostatnich dniach dała nam mocno w skórę. Ulewne deszcze zamieniają obóz w jedną kałużę błota, a każda rzecz w namiocie jest przesycona wilgocią.* [3]).

5 i 6 listopada dowódca Samodzielnej Kompanii Komandosów, kpt. Władysław Smrokowski, był przyjmowany w Algerze przez gen. Sosnkowskiego i być może wówczas przedstawił Naczelnemu Wodzowi wnioski na awanse. Rozkazem Naczelnego Wodza L.240 (Tj./pers.) — zostali wkrótce mianowani podporucznikami sierż. pchor. Bogumił Król, Józef Lubański i sierż. pchor. Antoni Zemanek, a por. Stanisław Wołoszowski rotmistrzem; wszyscy ze starszeństwem od 10 października 1943 r.

Listopadową rocznicę Święta Niepodległości, w której uczestniczył ambasador K. Morawski, uczczono akademią w sali kina „Regence" w El-Biar. O godz. 15.30 tego samego dnia Kompania wystawiła rewię w siedzibie miejscowego Ogniska Polskiego. A potem zaczęła się trwająca do późnej nocy zabawa taneczna. Była to właściwie zarazem uroczystość pożegnalna z tutejszą Polonią no i z Afryką, bo w kilka dni później zaczęły się gorączkowe przygotowania kompanii do odjazdu.

Byli teraz wyposażeni w myśl nowej instrukcji dotyczącej oddziałów „commando": transport kołowy „6-th Troop" składał się z Willysa, 3-tonowej ciężarówki Dodge i dwóch motocykli Ariel — „trzystapięćdziesiątek". Uzbrojona była Kompania w 38 karabinów, 2 karabiny wyborowe, 5 elkaemów „Bren", 12 tomiganów i 35 pistoletów. Siłę ogniową uzupełniały 2 moździerze, 4 garłacze i jedna rusznica przeciwpancerna zwana potocznie „platem".

Samochody odpłynęły pierwsze na statku „Fort Grant". Komandosi zaokrętowali się w porcie Philippeville na „Ville d'Oran".

20 listopada o godz. 9 rano odbijają wreszcie od brzegów Afryki. Po drodze podziwiają jeszcze port Le Valetta na Malcie.

1 grudnia 1943 r. „Ville d'Oran" rzuca kotwicę na redzie portu, którego nazwa brzmi po włosku Taranto a po polsku — Tarent.

Co przyniesie nowy rok? Jak potoczą się ich losy? Są głęboko przejęci, pełni dumy: wszak ich kompania to pierwszy oddział Polskich Sił Zbrojnych stawiający nogę na kontynencie europejskim. *On the Continent* — jak mówią brytyjscy wyspiarze.

Dnia 2 grudnia — notuje por. Zalewski — *około 2,30 dobijamy do portu. O godzinie 16,30 wychodzimy na ląd włoski (...) Jesteśmy dumni, że zaszczyt lądowania na kontynencie przypadł nam pierwszym. Po czterech latach jesteśmy z powrotem. Niektórzy z nas równo cztery lata wstecz przejeżdżali przez ziemię włoską, ale oddalając się od kraju. Dziś jesteśmy w drodze powrotnej. Przebyliśmy setki, mało: tysiące kilometrów przez przestrzenie zagrożone — dzięki Bogu, szczęśliwie. Zbliżyliśmy się do Polski o setki kilometrów.*

(...) W chwili kiedy dobiliśmy do lądu, na torze kolejowym w porcie widzimy towarowy wagon z napisem „POSEN". Pokazywaliśmy sobie z pokładu polski wagon jak coś bardzo drogiego, coś bardzo bliskiego sercu naszemu. Widziałem jak po wylądowaniu nasi chłopcy podchodzili do wagonu, oglądali go ze wszystkich stron, a bardziej sentymentalni dotykali go, dając w ten sposób upust swym uczuciom [4]).

Podobnie opisywał owe pierwsze polskie spotkanie na włoskiej ziemi Maciej Drzewica w „Zielonym talizmanie"; już z większego dystansu czasowego, ale z nie mniejszym wzruszeniem:

Na torze kolejowym czekaje na na-

Kamena str. 6

sze bagaże wagony towarowe. Na jednym z nich spostrzegamy napis, „Reichsbahn Direktion Posen", a poniżej, przebijające spod źle zamalowanej farby litery „P.K.P". Dziwny zaiste przypadek zdarzył się, że po rzeczy Polaków przyjechał polski — niegdyś Niemcom służący — wagon. I to spotkanie staramy się tłumaczyć jako dobry omen, jako znak szczęśliwego połączenia się i spotkania wszystkich rzeczy, które utraciliśmy.

Powiało Polską we włoskim porcie Taranto. Ale ilu z nich zginie, zagubi się w dalszej drodze ku krajowi? Na razie tworzą zwartą, nienaruszoną gromadę. Lecz już powstała pierwsza szczerba w oddziale: starszy strzelec Czubak pozostał w szpitalu w Algerze ...

3 grudnia Samodzielna Kompania Komandosów przybywa pociągiem do miejscowości Molfetta, gdzie stoi dowództwo 2 Special Service Brigade — 2 Brygady Służby Specjalnej, w której skład będą teraz wchodzili. Następnego dnia przeglądu polskiego oddziału dokonuje dowódca brygady, Tom Churchill. W słoneczną niedzielę 5 grudnia — mają już pierwszy przydział bojowy.

★

Odnotujmy, że żołnierze 3 Dywizji Strzelców Karpackich 2 Korpusu, przybyli do Tarentu już 21 grudnia 1943 r. Ale Samodzielna Kompania Komandosów stanęło tu jako pierwsza i ona też pierwsza weszła we Włoszech do walki. Dowództwo Korpusu wylądowało nb. we Włoszch 8 stycznia 1944 r., a transport Korpusu z Egiptu zakończył się ostatecznie dopiero w połowie kwietnia. [5]).

Pewnego dnia, w końcu listopada 1943 r. — pisze Hilary St. G. Saunders [6]) — *Tom Churchill, niedawno mianowany brygadierem, przybył samolotem do Kairu. Kiedy poprosił na lotnisku o telefoniczne połączenie go z przyjacielem mieszkającym w hotelu Mena House, oficer służbowy zapytał: „A tym pańskim przyjacielem jest Winston Churchill, prezydent Roosevelt czy też może generalissimus Czang-Kai-Szek?". Rozpoczęła się właśnie Konferencja Kairska. Wśród osób w niej uczestniczących znajdował się również R. E. Laycock, nowy szef Combined Operations [7]), który wezwał Toma Churchilla w celu przedyskutowania spraw związanych z nową Special Service Brigade formowaną we Włoszech z 2 i 9 Commando, 40 i 43 (Royal Marine) Commando, a także z kompanii belgijskiej i polskiej 10 Międzyalianckiego Commando. Spędziwszy kilka dni na Konferencji wśród wspaniałości Kairu, gdzie waleczni rycerze sztabu byli jeszcze zdolni po swym codziennym trudzie znaleźć czas na ..grę w polo, tenisa i kąpiel w Gezierh Clubie, brygadier Churchill wrócił do moknącej w deszczach, targanej przenikliwymi wiatrami Italii."*

Tom Churchill nie zwykł się był pieścić ze słowami, ani z podwładnymi. Uznał, że Belgowie i Polacy muszą przejść zaraz na wstępie ciężką zaprawę bojową na pierwszej linii frontu. *Doskonałym miejscem do prowadzenia bojowych patroli było Pescopennataro, w czasach pokoju znany rejon narciarski, prawie sześć tysięcy stóp* (ok. 2 tys. m — przyp. MD.) *nad poziomem morza.* [8]).

12 grudnia 1943 r., Samodzielna Kompania Komandosów wyruszyła na front. Trasa przejazdu wiodła ku północy. *Z ziemi włoskiej do Polski...* śpiewali tutaj już przed stu pięćdziesięciu laty polscy żołnierze...

---

[1]) M. D. Z. (Maciej Zajączkowski) — „Północna Afryka", w: „Zielony talizman", wydawnictwo zbiorowe, Bolonia 1946.

[2]) Dziennik bojowy II plutonu (Samodzielna Kompania Komandosów), rkps., archiwum Instytutu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

[3]) Ibidem.

[4]) Ibidem.

[5]) „Działania 2 Korpusu we Włoszech", T. I, wydawnictwo zbiorowe, Londyn 1952. Olgierd Terlecki — „Polacy w kampanii włoskiej 1943—1945". Wydawnictwo „Interpress", Warszawa 1971.

[6]) Hilary St. G. Saunders — „The Green Beret. The Story of the Comandos 1940—1945". London 1971. (tłum. moje).

[7]) 23 października 1942 r., słynny komandos, brygadier Laycock, zastąpił Louisa Mountbattena na stanowisku szefa Combined Operations. Liczył wówczas 36 lat.

[8]) Hilary St. G. Saunders op. cit.

SPRAWY NIE TYLKO HISTORYKÓW

Spis powszechny - 1916

Jan Lewandowski

PRZEPROWADZONY ostatnio Narodowy Spis Powszechny był czwartym spisem powszechnym w Polsce Ludowej, a szóstym od chwili odzyskania niepodległości. Powszechne spisy ludności na ziemiach polskich prowadziły władze zaborcze od końca XIX w. W Lublinie i na terenie całej okupacji austro-węgierskiej, obejmującej 27 południowych powiatów Kongresówki, ostatniego takiego spisu dokonały c. i k. władze okupacyjne w październiku 1916 r.

Spis ten odbył się w szczególnej sytuacji politycznej i gospodarczej. W lecie 1915 r., wojska rosyjskie ostatecznie opuściły ziemie Królestwa Polskiego. Wraz z wojskiem wyjechała na wschód prawie cała carska biurokracja i większość personelu nauczycielskiego. Ewakuacja objęła także znaczną część ludności cywilnej, przede wszystkim ze wschodnich powiatów Lubelszczyzny. Kozacy podpalali zabudowania, niszczyli dojrzewające zbiory (było to w lipcu) i wypędzali całe wsie. Do zniszczeń spowodowanych działaniami wojennymi, jakie w południowej części Lubelszczyzny toczyły się w sierpniu i wrześniu 1914 r., doszły nowe, spowodowane ewakuacją i uporczywymi walkami w lipcu i sierpniu następnego roku. W samym Lublinie władze carskie już od początku lipca 1915 r. ewakuowały urzędy, instytucje i część fabryk. *Dzień i noc przez pryncypialne ulice miasta ciągnęły obozy uciekinierów ze stadami koni, bydła, z całym dobytkiem, ciągnęły nieskończone tabory wojska rosyjskiego, dudniły po bruku wozy, jaszczyki, armaty... turkot, klekotanie i łomot ciężkich kół łączyły się z ludzkimi krzykami, przekleństwami i rykiem zwierząt w jeden wielki chaos, w który od czasu do czasu wżynał się przeraźliwy ryk syreny torującego sobie drogę samochodu, a nad tym wszystkim unosiły się tumany kurzu, spowijając w tajemniczą mgłę całe to zaniepokojone ludzkie mrowisko...*

Nieprzyjacielskie aeroplany, ostrzeliwane przez Rosjan, miotały codziennie na miasto na przemian to odezwy do ludności, skrzętnie przez policję wyłapywane, to bomby, to stalowe strzałki...

Do tego obrazu, pióra lubelskiego prawnika, Juliana Marcelego Korsaka, należałoby dodać, że w szeregach armii rosyjskiej także znajdowały się tysiące Polaków. Odwrót z Królestwa oznaczał dla nich pożegnanie rodzinnych stron, w najlepszym przypadku, na kilka lat.

Po przesunięciu i stabilizacji frontu rosyjsko-niemiecko-austriackiego na wschód od Królestwa Polskiego okupacyjne władze austro-węgierskie stanęły przed pilnym zadaniem podporządkowania sobie zajętych ziem pod względem wojskowym, gospodarczym i politycznym. Wśród zadań postawianych przed c. i k. Generalnym Gubernatorstwem Wojskowym w Polsce, mającym od 1 sierpnia 1915 r. siedzibę w Lublinie, na czoło wysuwała się gospodarcza eksploatacja „zajętego obszaru nieprzyjacielskiego", jak wówczas koła wojskowe Austro-Węgier określały Kongresówkę. Niezbędna była zatem w miarę pełna orientacja w zasobach gospodarczych i ludzkich okupacji. Zadanie to było tym trudniejsze, że władze carskie z reguły wywoziły lub niszczyły akta administracyjne, spisy statystyczne, czy rejestry podatkowe, a nawet nieliczne zachowane były w nowej sytuacji nieaktualne.

Nowe władze administracyjne nie zawsze potrafiły sprostać nałożonym na nie zadaniom. W zorganizowanej na sposób wojskowy administracji okupacyjnej, noszącej też nazwę „c. i k. Zarządu Wojskowego" główną rolę odgrywali komendanci powiatów, przeważnie pułkownicy, słabo na ogół zorientowani tak w sprawach administracji jak i w sprawach Kongresówki. Fachowy element cywilny, przeważnie polscy urzędnicy z Galicji, został zepchnięty do roli podrzędnej, zaś c. i k. komendanci usiłowali rządzić „w podbitym kraju" metodami stosowanymi przez nich dotychczas w koszarach czarno-żółtej armii. Stąd takie „kwiatki" z początkowego okresu okupacji, jak rozkaz komendanta powiatu lubartowskiego, zaczynający się od słów: *Dort, wo ich regiere...* — *Tam, gdzie ja rządzę (panuję).* Inny komendant polecał ludności miejscowej ustępowanie z drogi oficerom i funkcjonariuszom okupacyjnym oraz zdejmowanie przed nimi nakryć głowy, w rezultacie czego *cała inteligencja owej miejscowości chodzi bez czapek.* Duchowieństwu wszystkich wyznań rozkazano witać z honorami władcę powiatu u wrót świątyni. Także statystyka nie była początkowo wolna od tego rodzaju poczynań. *Koroną wszystkiego było zarządzenie statystyczne Sekcji Gospodarczej w Lublinie. Rozesłano okólnik do wszystkich gmin i obszarów dworskich, nakazując wykazać, ile w danej gminie produkuje się zboża i innych ziemiopłodów — ile w lasach jest dębów, buków, jodeł etc. — ile jest sztuk bydła, świń, drobiu, sarn, zajęcy, kuropatw, przepiórek, dzikich kaczek, dzikich gęsi etc. — ile w stawach i rzekach jest szczupaków, karpi, płotek itd. itd. Razem było w dołączonych formularzach kilkaset podobnych rubryk, które miały być bardzo dokładnie wypełnione* — pisał Jerzy Jampolski, urzędnik cywilny Generalnego Gubernatorstwa.

Na zarządzenia tego typu ludność reagowała narastającą nieufnością, niechęcią, czy wręcz nienawiścią wobec władz okupacyjnych. W miarę trwania okupacji, mimo wielu ustępstw nowych władz w dziedzinie oświaty, wprowadzenia języka polskiego w szkolnictwie, samorządzie i życiu publicznym, gospodarcza strona działalności Zarządu Wojskowego coraz to dotkliwiej dawała się ludności we znaki. Także władze monarchii habsburskiej nie były zadowolone z rezultatów chaotycznego i niefachowego postępowania swych organów administracyjnych. Dochodziła do tego żywa od wiosny 1916 r. rywalizacja niemiecko-austriacka o względy Polaków z Kongresówki. Jednym z jej rezultatów była proklamacja Królestwa Polskiego aktem 5 listopada 1916 r. Nie bez znaczenia były też niepowodzenia militarne państw centralnych wiosną 1916 r. Armia niemiecka wykrwawiła się pod Verdun, a jej czarno-żółta sojuszniczka poniosła ogromne straty (przede wszystkim we wziętych do niewoli) w czasie czerwcowej rosyjskiej ofensywy Brusiłowa pod Łuckiem. W polityce wobec Królestwa nastąpiła pewna zmiana kursu. Wyrażało się to także ściągnięciem do administracji okupacyjnej większej niż dotychczas liczby Polaków i zwiększeniem uprawnień cywilnej, właśnie obsadzonej przez galicjan, części Zarządu Wojskowego.

Zmiany objęły także sprawy statystyki. W czerwcu 1916 r. utworzono w Generalnym Gubernatorstwie c. i k. Urząd Statystyczny. Na jego czele stanął dr Kazimierz Władysław Kumaniecki, współautor wydanej rok wcześniej „Statystyki Polski", specjalista w dziedzinie prawa administracyjnego, późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego (od 1917 r.) i minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego (w 1922 r.). Celem działalności Urzędu Statystycznego, zawartym w rozporządzeniu c. i k. Naczelnej Komendy Armii, było prowadzenie statystyki „materialnej wartości okupowanego obszaru". Pierwszym krokiem w tym kierunku był właśnie powszechny spis ludności przeprowadzony według stanu z dnia 15 na 16 października 1916 r.

O „materialnej wartości" zasobów ludnościowych okupacji wymownie świadczą dwa aspekty polityki władz monarchii: przymusowa eksploatacja siły roboczej, prowadzona od końca 1915 r., oraz drugi aspekt, o którym tak pisał sam Kumaniecki: *Odnośne rozporządzenie Naczelnej Komendy Armii zapowiadało odkomenderowanie do pomocy przy spisie odpowiedniej liczby oficerów [...] Zaraz z pierwszych rozmów przekonałem się, że są to sami oficerowie „ewidencyjni", którzy mieli za sobą dłuższą lub krótszą służbę w komendach uzupełniających. To mi jednak jeszcze nic nie mówiło. Dopiero niejaki mjr Takacs, Węgier rodem, w sposób bardzo szczery wyjaśnił mi to, czego dotąd nie wiedziałem, że wszyscy ci oficerowie przyjeżdżają wprost z AOK* (Naczelna Komenda Armii — J.L.), *gdzie odbyto z nimi jakąś konferencję. Dodał przy tym tonem nieco rubasznym: „Ich bin ein Fachmann in den Assentierungsangelegenheiten". (Jestem specjalistą od spraw poboru). Nie wiem, czy w AOK ktoś naprawdę myślał o nieprawdopodobnej rzeczy, jaką byłby w tych warunkach pobór [...], czy może tylko stary major coś takiego sobie wykombinował w swojej głowie. Rezultat w każdym razie był taki, że natychmiast po przeprowadzeniu spisu postawiłem wszystkich tych oficerów do dyspozycji AOK, jako już zbytecznych.* Wprawdzie do przymusowego poboru nie doszło, ale sprawa ewentualnego rekruta polskiego z terenu Królestwa (a w samej okupacji austriackiej liczba mężczyzn w wieku mobilizacyjnym przekraczała pół miliona) długo jeszcze przewijała się w różnych kombinacjach polityków i wojskowych obu państw centralnych.

Pałac Gubernatora

Dokończenie na str. 12

PIELĘGNIARZE

Janina Orynżyna

IM LUDNIEJSZE są metropolie, tym bardziej samotny jest w nich człowiek. Nuklearna rodzina składa się z samotnego męża, gdyż żona pracuje zawodowo, wciąż chodzi po zakupy, lub pierze, z samotnej żony, ponieważ mąż cały dzień pracuje poza domem i z samotnych dzieci, które wychowuje szkoła, telewizor i podwórze.

Ciocia mieszkała jeszcze samotniej w stolicy w wieżowcu na dziewiętnastym piętrze. Miniaturowe jej mieszkanko zdawało się unosić jak samolot nad niezliczonymi światłami wielkiego miasta.

Wojna rozproszyła jej dalszą rodzinę po świecie: w Szkocji, w Brazylii i na Przylądku Dobrej Nadziei. Zakaz meldowania w stolicy osadził bliższych krewnych w Radomsku, Ostrowi Mazowieckiej i w Zielonej Górze. Trudności mieszkaniowe osiedliły resztę, już stałych mieszkańców Warszawy, na dalekim Wierzbnie, w Młocinach i Grochowie. Nikt nie miał czasu na odwiedziny, a telefon tym bardziej zwalniał od uciążliwych spotkań.

Ciocia wychowywała się jeszcze w tych czasach, gdy rozległa rodzina zamieszkiwała w pobliżu i stanowiła zżyty i zamknięty klan.

Do matki należało rozpieszczanie dzieci i forsowne ich opychanie tudzież strojenie krytycznym ciotkom, mającym wszystko za złe, przypadała rola opozycji jej królewskiej mości, kuzynowie dawali okazję do pierwszych nieszkodliwych flirtów pod okiem starszych, babcie i dziadkowie stanowili źródło nieprzebranych łakoci, wszystko wybaczającej tolerancji i uwielbienia dla wnuków. Ojciec u szczytu rodzinnej piramidy uchodził za ostateczny i wszystko rozstrzygający autorytet. W rodzinie były reprezentowane wszystkie wieki, uzupełniające się nawzajem i naprawdę sobie potrzebne. Pierwsze słowo dziecka i pierwsze jego zabawne i nieporadne kroki, pierwsza piątka, lub dwójka w szkole, pierwszy pocałunek zaręczonych przejmowały jako odkrycie nie tylko najbliższą rodzinę, lecz wszystkie ciotki, wujów, stryjków, szwagrów, teściów świekry, zięciów, bratanków i bratanice, siostrzeńców i siostrzenice, kuzynów stryjecznych i wujecznych. I tak było ze wszystkimi wydarzeniami aż do pogrzebu w rodzinnym grobie, który gościnnie zapraszał resztę krewnych.

Można było porównać życie w takiej rodzinie do biocenozy w nadjeziornym błotku, gdzie trzciny, wodorosty i grążele, łątki, komary i żaby, ryby, kaczki i rybitwy, czaple a nawet jastrząb — rybołów stanowiły wzajemnie powiązany i nierozerwalny zespół. Wytrzebienie jednego gatunku zakłócało jego równowagę i nawet zagrażać mogło istnieniu całej naturalnej społeczności.

Ciocia była ciotką od urodzenia. Dwudziestoletni jej siostrzeniec całował ją w rączkę, gdy była jeszcze pięcioletnią dziewczynką. Tak się w jej rodzinie wszystko dziwnie powiązało, że ów siostrzeniec, badając jej genealogię, doszedł do przekonania, iż sam sobie jest dziadem.

Wychowana w tej atmosferze ciocia, mieszkając samotnie w wieżowcu na dziewiętnastym piętrze, bynajmniej nie czuła się odłączona od swoich krewnych. Uprawiała rozległą korespondencję, a mając wspomnianym zwyczajem ciotek wszystko za złe, nie sypiała po nocach z wielorakich powodów, już to przez dziewięć dwójek ukochanej cioecznej wnuczki, mieszkającej w Ostrowi Mazowieckiej, bądź też z powodu dłużów bratanka w Radomsku, bolały też ją jak swoje kamienie wątrobiane stryjecznej kuzynki z Grochowa, mieszkającej przy ulicy Samotnych Kochanków.

Bezsenna wyobraźnia potęguje niepokoje i troski, a jedna czwarta realnych klęsk pociąga za sobą trzy czwarte urojonych. A cóż dopiero, gdy dzieje się to w samotności! Trzeba przyznać obiektywnie, że ciocia podtrzymywała stosunki rodzinne nie tylko własnym serdecznym strapieniem, lecz i bardziej realnymi więzami w postaci pieniężnych przekazów, wysyłanych do różnych miast i miasteczek Rzeczypospolitej. Trwało to tak do czasu aż skręciła poważnie nogę. Ponieważ złe wiadomości przychodzą najwcześniej, już tegoż wieczora przybyła z dalekiego Wierzbna cioteczna kuzynka, cierpiąca na zapalenie nerwu kulszowego. Ciocia powitała ją niczym anielską zjawę wzruszona do łez jej ofiarnością. Kuzynka oświadczyła, że każdy ruch ją boli, wobec czego nie może nic robić koło chorej, tym bardziej, że nie zna się na gospodarstwie, ponieważ trzydzieści lat temu miała służącą. Niemniej jednak zostanie na noc przy cioci, gdyż nie może jej zostawić samej. Jakaż była radość gdy nazajutrz już od rana zjawia się kuzynka stryjeczna, chora na kamienie wątrobowe.

Obie pielęgniarki przyniosły zapobiegliwie zapasy, skrytykowane nawzajem z kretesem, za to zgodnie wspólnie skonsumowane.

Stryjeczna kuzynka przejawiała niezwykle czułą troskliwość, zmuszając clochardów, robotników naprawiających samochody i remontujących stare kamieniczki, staruszki z pieskami w sweterkach (jak te pieski zanieczyszczają chodniki! Trzeba bardzo uważać, żeby nie wdepnąć), czasem zabłąkanego turystę z planem miasta pod nosem.

Są tu i chińskie sklepiki. Wejdźmy. Uprzejmy sprzedawca pozwala długo wybierać: „koniki szczęścia", figurki staruszków łowiących ryby, czareczki, filiżaneczki, czajniki... Nawet nie tak drogo. Ba! Ale znowu jakiś antykwariat. Nie ma ich w Paryżu, chyba aż tak wiele jak w Londynie, ale wystarczy, by dostać zawrotu głowy. Czego tu nie ma! Ale też i ceny...

Przejdźmy jeszcze raz przez Plac Panteonu (od słonecznej strony grecka świątynia nie jest tak ponura), od ulicy d'Ulm, gdzie pysznią się gmachy rewolucyjnej uczelni — École Normale Supérieure. Popatrzmy jeszcze raz na polskiego szwoleżera, a potem zejdźmy w dół, ku Sekwanie, ulicą św. Jakuba, mijając po obu jej stronach dumne ze swego wieku i powagi budynki Sorbony. Patrząc na cudowny gotycki Hôtel Cluny, na ruiny term rzymskich ciągnące się aż po Boulevard St. Michel. Gapiąc się z zadartą głową na fascynującą późnogotycką bryłę kościoła św. Seweryna...

Potem, tuż przed Sekwaną, na prawo, skręćmy w zaułek (mało kto tamtędy chodzi), gdzie między gotyckimi kamienicami i barokowymi restauracyjkami, wybudowanymi chyba specjalnie dla panów muszkieterów, tkwi resztka romańskiego kościoła św. Juliana Biednego. Szkoda, że tylko resztka, ale i tego, co zostało, wystarczy, by się zauroczyć. W niedzielę można tam posłuchać psalmów po grecku. Obok kościoła ogród, skąd jest niepowtarzalny widok na Notre Dame. Ale zaszliśmy zbyt daleko. To męczące. Trzeba poszukać stacji Metro i wracać „do domu".

Błażej

MARGINAŁKI ZNAD SEKWANY (IV)

W cieniu Panteonu

DO Panteonu można iść różnymi drogami. Np. przez Ogród Luksemburski. Mijając pomnik Verlaine'a, Statuę Wolności (tak! tu stoi pierwowzór, którego kopia zdobi jeden z mostów paryskich, druga zaś sterczy w Nowym Jorku), pomnik Baudelaire'a z pięknym melancholijnym cytatem. Patrzę na sportowców. Na całujące się pary, których tu nigdy nie brak. Na Pałac Luksemburski. Uśmiecham się do gwardzistów ze złotymi naszywkami, z ogromnymi kołtami, nudzących się przed obecną siedzibą senatu.

Potem trzeba wyjść na Boulevard St. Michel — na Boul-Mich. Trzeba uważać, przechodząc przez jezdnię, bo samochodów sporo, choć nie wiem, czy tak dużo znów więcej niż w Warszawie. Nie jeżdżą też tak bardzo szybko. Nie na darmo popularna piosenka mówi, że „à Paris en vélo on dépasse les autos."

Można uśmiechnąć się do londyńskich wspomnień, mijając bar firmy Wimpy. Ale też i można zapomnieć o celu spaceru, kiedy się zacznie oglądać wystawy. Kiedy się zacznie obserwować różnobarwny i różnojęzyczny tłum studentów i turystów, wypełniający chodniki.

Dlatego ja wolę chodzić od innej strony. Wolę wdrapać się na wzgórek św. Genowefy (bo Panteon pierwotnie miał być kościołem tej świętej), uliczką St. Etienne, oglądając po drodze przedziwny kościół tegoż świętego: zaczęty przez Franciszka I, skończony przez Ludwika XIII — osobliwa mieszanina późnego gotyku z wczesnym barokiem. Ale w tym wypadku to nie razi.

Potem trzeba zajrzeć na dziedziniec szacownego Liceum Henryka Wielkiego (czyli Czwartego): gmach częściowo gotycki, częściowo barokowy, w rogu gotycka wieża. Może to komuś przypomina Collegium Maius (choć bez arkad), ale ja wspominam sobie przy okazji poczciwą Akademię Zamojską.

Wychodzę na Plac Panteonu. Ale prędko cofam się, przygnieciony pogańskim, zimnym pięknem tej świątyni. Jej ogromem. Cieniem, który rzuca na cały plac. Ale warto zauważyć, że wśród rzeźb na frontonie Panteonu jest także i polski szwoleżer, w rogatej czapie, wąsaty. Uśmiecham się tedy do szwoleżera, zawracając w boczne uliczki. Za Panteonem: Estrapada, ulica Fos św. Jakuba (tak się nazywa, bo kiedyś były tam mury, a przed nimi fosy), ulica Irlandczyków (dziś, bo kiedyś była tu uliczka Zielonego Konia, nie mam osobiście nic przeciw rudym wyspiarzom, ale koń to zawsze koń, choćby i zielony, po co te zmiany?). A potem ulica Lhomond. Kiedyś nazywała się Des Postes — nie wiem: Poczt czy Posterunków Wartowniczych, raczej to drugie. Tu, w Paryżu, na starych domach są ryte w kamieniu nazwy ulic, pewnie jeszcze sprzed Rewolucji.

A ulicą Lhomond warto pójść na dół, bo przy jej wylocie są dwa pałacyki, raczej dworki, z ogródkami, wśród drzew. Jak na wsi. W dodatku dworki przedwieczne. Nie darmo Martin du Gard napisał, że w Paryżu można znaleźć wszystko, nawet prowincję. Ale można też przewrócić się na workach śmieci i na stosach odpadków, bo właśnie jest kolejny strajk śmieciarzy. Kiedy zbiorą się już takie góry śmieci, że trudno przejść, że butelki i skrzynki sypią się na jezdnię, kiedy kolorowi robotnicy (którym nie wolno strajkować) nie dają już rady, sprowadza się do Paryża pułk piechoty, gdzieś aż z Compiegne, bo w stolicy nie ma garnizonu.

Paradnie to wygląda. Stają na placach jeepy i panowie sierżanci wydają rozkazy znad rozłożonych planów miasta, bo i skąd rekrut ma znać Paryż? A śmiecie trzeba sprzątnąć. Strajkują nie tylko śmieciarze. Czasem też poczta (otwarte są wtedy tylko niektóre urzędy), albo np. telewizja (nie ma wszystkich programów) czy Metro (zamyka się niektóre linie). Mówi się tu, że nie strajkują nigdy tylko poborcy podatków i policja.

Ale dość o śmieciach. Poszperajmy lepiej w antykwariatach na tych uliczkach. Są to urocze, i trochę brudne, składy starzyzny, gdzie można znaleźć niemal wszystko. Urocze są te antykwariaciki. Jak i domy. Jak pałacyki poprzerabiane po Rewolucji na warsztaty rzemieślnicze, upstrzone starymi napisami i reklamami z czasów Ludwika Filipa.

Na tych uliczkach jest pustawo. Jakby się wszyscy umówili, że będą chodzić tylko bulwarami. Tu można spot-

Alina Książek

NIEBYT

Zbierałaś wczoraj kwiaty
ścieląc zapachami
płodne gniazdo.

Rozdawałaś pragnieniami siebie.

Czy dzisiaj jeszcze
potrafisz istnieć
marzeniami innych
Wyznaczać miłością role
w świecie popiołów?

WĄTPLIWOŚCI

Dotykasz nagle mych włosów
sprawdzając prawdę swego bycia
lecz czy my — obok dwa
istnienia —
mamy pewność własnej
realności?

Józef Pałka

* * *

popatrz — ten z gołą głową
to dureń
pacnij go kijem pogardy
a ten łysy to śmieć
ten z teczką to gryzipiórek
znaczy: plagiator
a ta baba nie ma duszy
żadnej
jak dobrze być wspaniałym
podnieś głowę

Kamena str. 8

jąc chorą do odżywiania się co pięć minut, tarmosząc jej co chwila poduszki i trajkocząc jak karabin maszynowy. Zapomniała przy tym to łyżkę, to widelec, to nóż, to talerz, to chleb, to sól i przemierzała na małej przestrzeni mieszkanka całe kilometry robiąc nieprawdopodobne zamieszanie. I tak częstując uparcie kawą z kożuszkiem którego ciocia nie znosiła z rozpędu siadła na jej chorą nogę. Nazajutrz przybyła z Ostrowi Mazowieckiej ukochana wnuczka. Cały dzień zeszedł wśród wybuchów radości i niekończących się zwierzeń.

Gdy zapadł zmrok, należało się zastanowić jak położyć miłych dobrych gości. Pościeli ciocia miała niedużo wobec ciasnoty mieszkanka małego, jak kabina pojazdu księżycowego. Gdy już rozłożono składane łóżko i nadmuchano gumowy materac, dzwonek oznajmił przybycie jeszcze jednego pielęgniarza.

Ciocia zmartwiała. Istotnie przyjechał z Radomska bratanek leśniczy. Do północy opowiadał o łosiach, czaplach i wilkach, dyskretnie nie wspominając o długach, które osaczały go gorzej od stada tych zwierząt.

Słuchając myśliwskich opowieści, ciocia się głowiła, gdzie i jak położy leśniczego i właśnie w trakcie pasjonującej opowieści o zasiadce na dzika zaczęła wyciągać spod siebie poduszki i materac. Wreszcie wszyscy jakoś się ułożyli pokotem, kuzynki stryjeczna i cioteczna „na waleta", a wszyscy wzdłuż i w poprzek i na ukos pokoiku. Wnet pielęgniarze znużeni zachrapali zgodnym chórem.

Tymczasem uszczęśliwiona z ich przybycia ciocia przewracała się całą noc na swym madejowym łożu. Ledwie o świcie zmrużyła oczy, gdy obudziło ją krzątanie się bratanka, który musiał już wracać do lasu.

Leśniczy zjadł do czysta wszystkie przyniesione przez pielęgniarki zapasy. Za to sam zostawił świeżo ustrzelonego zająca, którego zawiesił na balkonie ku przerażeniu zadomowionych tam wróbli i zaciekawieniu przelotnych wron.

Ciocia popadła w rozpacz, nie wiedząc, co począć z tym kłopotliwym darem. Kto zająca oprawi z jego siedmiu skór i kto zje aż tyle? Ani nerw kulszowy ani kamienie wątrobiane nie predestynowały kuzynek do tak krwawej roboty. Wnuczka pochwaliła się, że to dla niej furda, nie takie widziała rzeczy, bo codzień na dobranoc telewizja pokazuje okropne bestialstwa wojenne i nie zasypia się inaczej jak z truposzami w oczach. Mimo to babrać się z zającem nie myśli. Z kolei dozorczyni wymówiła się, bo jest na to za nerwowa. Listonoszka z platynowym czubem uznała niesłychaną propozycję wnuczki za wręcz obrażającą. Sytuacja była bez wyjścia.

W tej chwili ktoś zapukał i zadzwonił.

— Kocia wiara — oznajmiła wnuczka.

— Jak możesz tak przezywać naszych braci odłączonych — oburzyła się ciocia. — Proszę wejść! Otwarte!

Świadkowie Jehowy rozpoczęli już jak zazwyczaj swoje niczym niezrażone apostołowanie, gdy wnuczka przerwała je, oświadczając, że wszyscy pielęgniarze z przyjemnością wysłuchają o zbliżającym się końcu świata, ale pod warunkiem, że świadkowie Jehowy obedrą ze skóry zająca. Zgorszona do żywego tą bezczelną propozycją ciocia zaczęła tłumaczyć, że Badacze Pisma Świętego mają nad nami tę wyższość, że sprzeciwiają się każdemu przelewowi krwi, nawet we własnej obronie.

Nagle wnuczka uderzyła się w czoło:

— A Ezaw — zawołała z triumfem. — Przecież Ezaw zdarł skórę z baranka i okręcił nią ręce. Więc Pismo Święte tym bardziej pozwala z zająca...

Wobec tak niezbitego argumentu Badacze Pisma Świętego oprawili zająca, aby potem już bez przeszkód głosić nadchodzący tuż tuż koniec świata. Zająca upieczono i zjedzono.

Wreszcie ciocia znużona zbyt intensywną pielęgnacją, uznała, że jest już całkiem zdrowa i sama doskonale da sobie radę. Pożegnała tedy pielęgniarzy z gorącą i czułą wdzięcznością. Była uszczęśliwiona, że wnuczka wyjechała w nowych kozaczkach, bratanek zapłacił ratę swego długu, a kuzynki stryjeczna i wujeczna zostały też obdarowane.

Gdy już została sama, ale już nie samotna, poskakała na jednej nodze do kuchni. Ciocia miała zawsze tę ambicję, żeby śliczna jej kuchenka była czysta, jakby tylko duchy w niej gospodarowały. A tu oczom jej przedstawił się opłakany widok. Na stole wznosił się stos poczerniałych garnków. Dookoła jakieś zielone i niebieskie plamy tworzyły coś na kształt mapy świata. Zlew zardzewiał, jakby przepłynęła po nim rzeka rudy żelaznej, w szafce półki lepiły się od papki z konfitur i rozlanej oliwy, przysypanej rozmaitymi kaszami. Ciocia zajrzała do lodówki, a tam pod potężnym soplem zostawiono dla niej kawał zająca. Ucieszyła się, że starczy jej mięsa do pierwszego. Nieraz już tak się zdarzało, że gdy rozdała wszystko prawą ręką, do lewej automatycznie wprost sypały się dary Opatrzności. Najniespodziewaniej w świecie. I teraz. Patrzcie! Dzwoni dzwonek. Poczta. Przesyłka z zagranicy. Nie do wiary! Od tego niepoprawnego szwagra z Przylądka Dobrej Nadziei.

Wprawdzie nie miała na opłacenie cła, ale ktoś to już załatwił, jakiś wujeczny, czy stryjeczny, nie wiadomo.

Z wypiekami na twarzy ze wzruszenia ciocia drżącymi rękami rozpakowała ananasy, daktyle, migdały. Będzie to dla kochanych, dobrych pielęgniarzy. Ale cóż to? Mąka, zwykła mąka, ryż, tłuszcze. Cóż też oni sobie o nas myślą tam za granicą? Jakbyśmy głodowali i nie mieli tego co można kupić u nas w każdym sklepiku? To oburzające.

Ale, ale, zreflektowała się, mówiąc do siebie głośno, zwyczajem osób samotnych, w mojej sytuacji, z tą chorą nogą, na dziewiętnastym piętrze, i bez kochanych pielęgniarzy, przecież to zrzut anielski! Prawdziwy dar niebios! Od kochanego szwagra... I to z Przylądka Dobrej Nadziei!

Leopold Lewin

* * *

Noc nie jest ciemna,
Choćby księżyca nie było ni gwiazd.
Gdy wzrok przywyknie, dostrzeże zarysy
Drzew i postaci, i ptaków, i murów.

I dżungla nie jest ciemna —
Robaczki ją w przelocie rozświetlają,
Spróchniały pień zaświeci,
Rozbłysną ślepia wędrujących bestii.

Nawet zbrodniarza dusza nie jest ciemna —
Uśmiech rozwidni jej mroki,
Miłość do matki,
Modlitewny szept.

Ciemna jest tylko śmierć.

* * *

Gdy się narodził,
Jak każdemu z nas
Dano mu nędzny przydział dni,
Które ma przeżyć.
Ale do kraju wtargnęły kohorty,
Których napędem była nienawiść,
Których rzemiosłem było zabijanie,
A godłem — trupia czaszka i piszczele.
I ograbiły go z przydziału dni,
Które miał przeżyć.
Był jednym z sześciu milionów.
I moim ojcem.

PAMIĘCI BRATA

Na kontrabasie płakać umiał
I łkał i wybuchał śmiechem.
I w kontrabasie potok szumiał,
A stok wtórował echem.

Na kontrabasie Bach się wspinał
Po niebosiężne regiony.
I w kontrabasie smutek ścinał
Oczy, murawy, tony.

Instrument, już poznawszy trwogę,
Wciąż gra pod jego palcami —
Czasami brat, gdy spać nie mogę,
Na kontrabasie gra mi.

KONCERT BRANDENBURSKI

W Koncercie Brandenburskim rącze instrumenty
Naskakują na siebie, zwalczają się, gonią,
Lecz swary i utarczki, szmery i tętenty
Ogarniają mnie zgraną z przeciwieństw harmonią.
Znika glob, wyziewami rozszczepień zatruty,
Milkną strzały, nie słychać już trafionych głosu.

Jest lipski organista, który kreśli nuty
I niczym Bóg wydziera mnie i świat z chaosu.

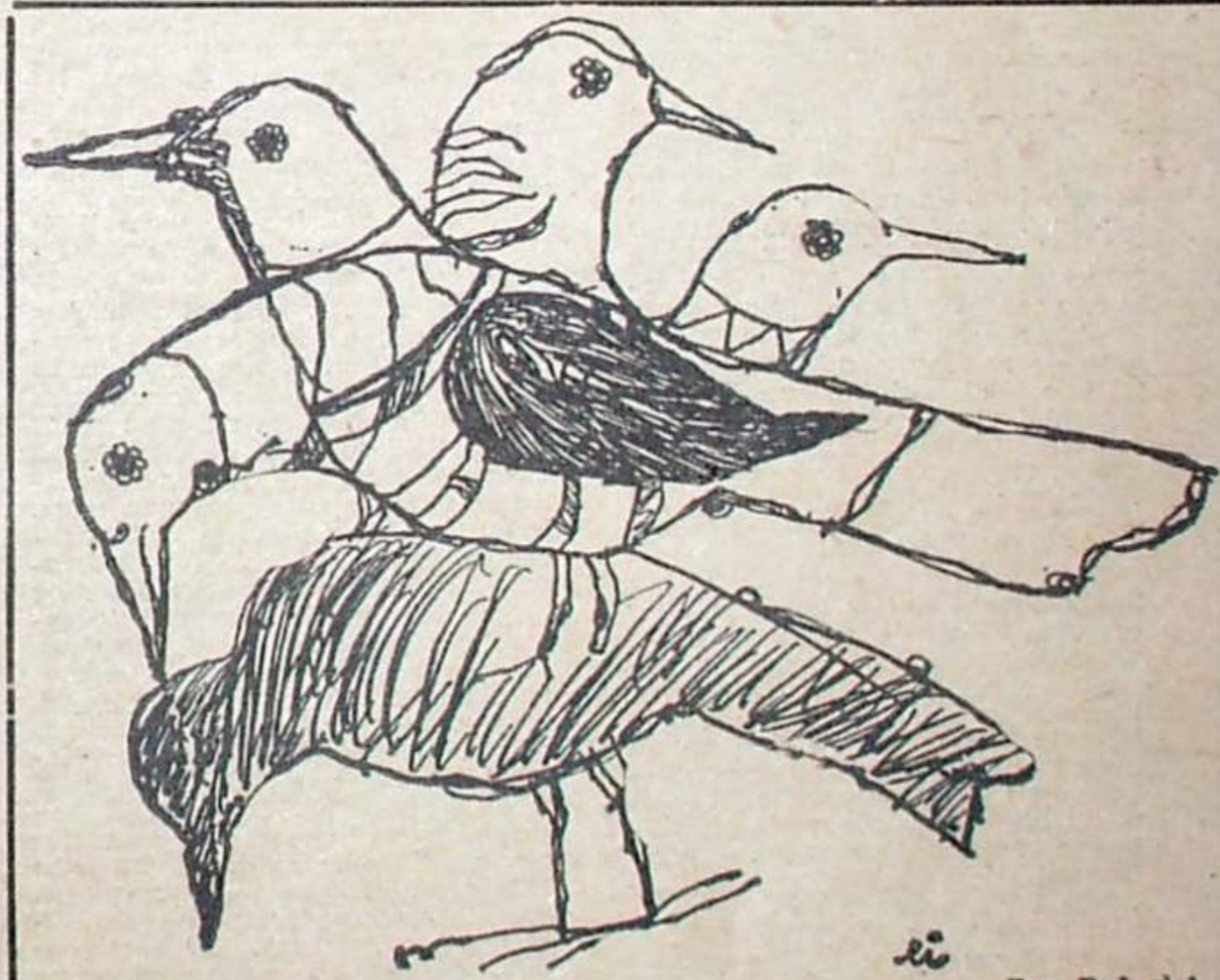

Rys. E. Inglot

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

* * *

Pod kloszem nocy jeden płomyk
włóknami świateł pełza po kamieniach
zegar już oswojony wybija pośpiesznie
czujność niewysłowioną a ufną jak strzała

Niebo ptakami szeleści jak otwarta muszla
ramię ciąży brzemiennie na pokojach słowa
jesień oddala dumę ostatniego liścia
każdej zbiegłej godziny tak trudno żałować

NOTATKI SPOD BŁĘKITNEJ FLAGI

Dokończenie ze str. 1

Prawie w dwadzieścia wieków po pierwszych próbach, za sprawą Napoleona, który w 1798 roku wylądował ze swoją inwazyjną armią w Egipcie, idea budowy kanału ponownie odżyła. Nie bez udziału był tu nasz Sułkowski i jego „Opisanie Egiptu". Do sprawy kanału nawiązywał również w „Testamencie" utopijny socjalista Saint-Simon. Ale dopiero życiowa pasja Francuza, inżyniera Ferdynanda Lessepsa sprawiła, że narodził się współczesny, funkcjonujący po dziś dzień, szlak wodny. A stało się to w dniu 30 listopada 1854 roku, kiedy to ówczesny wicekról Egiptu — Said Pasza podpisał, podobno nawet nie czytając, i wręczył Lessepsowi, który był jego osobistym przyjacielem, koncesję na budowę kanału. Od tego czasu poczynając aż do samego momentu otwarcia kanału, perypetii, w tym także poważnych międzynarodowych komplikacji i sporów związanych z jego budową, zwłaszcza pomiędzy Francją i Anglią, było co niemiara. Ale prace trwały. Wykonywało je każdego roku około 60 tysięcy egipskich chłopów, których podstawowym narzędziem pracy była motyka i trzcinowy kosz do wynoszenia ziemi. Przeciążająca praca, głód, tropikalne choroby dziesiątkowały budowniczych kanału. Jedni obliczają, że zmarło ich około 20 tysięcy, inni upierają się, że ofiar było znacznie więcej. Międzymorze — od Port Saidu na północy do Suezu na południu — jest to teren równinnej pustyni, a właściwie depresja solankowa. Trzeba było z Nilu doprowadzić pomocniczymi kanałami słodką wodę, które to zresztą słodkowodne kanały funkcjonują do dziś, tyle że woda w nich jest nie tyle słodka, ile gęsta od zanieczyszczeń i wszelakiej zarazy. Ponieważ poziom Morza Śródziemnego jest wyższy od poziomu Morza Czerwonego zaledwie o dwadzieścia pięć centymetrów — co przy znacznej długości kanału nie ma praktycznego znaczenia — Kanał Sueski nie posiada śluz ani przepustów wodnych. Jego długość wynosi ponad 170 kilometrów, wliczając w to dojścia do kanału wykopane w dnie Morza Śródziemnego i Zatoki Sueskiej na Morzu Czerwonym. Jak wiadomo, budowa Kanału Sueskiego nie obyła się bez liczącego się pod każdym względem udziału Polaków. Zresztą, gdzie nas nie było! Wśród licznej, ponad stuosobowej, grupy Polaków, głównie uchodźców powstańczych z 1863 roku, był także niezwykle utalentowany inżynier, prawa ręka Lessepsa — Stanisław Janicki. Janicki kierował budową północnej odnogi kanału, od Ismailii do Port Saidu. Zresztą budowa portu i wejścia do kanału w Port Saidzie, to także w głównej mierze dzieło inż. Stanisława Janickiego. A gdy już mowa o Janickim, wiadomo, że przyjaźnił się z Sienkiewiczem. Przy czym, jak się upierają znawcy przedmiotu, to on właśnie miał posłużyć autorowi „W pustyni i w puszczy" jako prototyp postaci inżyniera Tarkowskiego.

Oprócz Janickiego zaznaczyli się jeszcze m. in. inż. Ratuld, Moszczeński i Justyn Kozłowski.

W marcu 1869 roku wody Morza Śródziemnego zostały wpuszczone w ogromną słoną niecekę, która dzisiaj znana jest jako Jezioro Gorzkie. Natomiast wody Morza Śródziemnego i Czerwonego połączyły się w dniu 16 sierpnia 1869 roku o milę od miasta Suez. Kanał Sueski stał się rzeczywistością i można było myśleć o ceremonii oficjalnego otwarcia. Nastąpiła ona 17 listopada 1869 roku i przebiegała, jak opisują naoczni świadkowie i uczestnicy, z iście wschodnim przepychem. Od Port Saidu w stronę Suezu płynął dziewicza drogą wodną paradny konwój statków i okrętów wojennych przystrojonych wielką galą banderową. Na flagowym okręcie Eugenia — cesarzowa Francji, wicekról Egiptu — Ismail Pasza, no i oczywiście twórca kanału — Ferdynand Lesseps. Nasz rodak Janicki też tam był i udzielał wyjaśnień cesarzowej. Cały ówczesny świat fetował wiekopomne dzieło Lessepsa. Giuseppe Verdi skomponował z tej okazji „Aidę". Książę Walii udekorował Lessepsa złotym medalem, a Akademia Francuska zaliczyła go w poczet swoich członków. Sam Lesseps, w tym czasie już człowiek wiekowy, zbierał zawsząd hołdy, ożenił się ze znacznie młodszą córką bogatego przemysłowca i uważał Kanał Sueski za dzieło, które przez wieki służyć będzie całej ludzkości jako czynnik rozwoju i pokojowej współpracy.

W stanie ogólnej euforii znalazł się wszakże człowiek, który był odmiennego zdania i tak powiedział Lessepsowi: „Dotąd Bosfor stanowił wystarczającą przyczynę ambarasu na świecie. Pan stworzyłeś drugą przyczynę, znacznie poważniejszą od Bosforu, ponieważ służy ona za szlak komunikacyjny, łączący wszystkie morza globu ziemskiego. W wypadku konfliktu będzie to punkt, o którego okupowanie wszyscy śpiesznie rozpoczną walkę. W ten sposób wyznaczył pan miejsce wielkich bitew w przyszłości". Tym człowiekiem, którego słowa zacytowałem za Kazimierzem Sidorem, był Ernest Renan — francuski filozof, pisarz i historyk. Nie muszę nawet dodawać, że były to słowa prorocze i na ich potwierdzenie nie trzeba było długo czekać.

Już w 1882 roku Egiptem zawładnęli Anglicy, a głównym pretekstem interwencji był, oczywiście, Kanał Sueski. Twierdzili, że przyszli tutaj tylko czasowo, a panowali przez ponad siedemdziesiąt lat. Podczas I wojny światowej Turcy doszli przez Synaj aż do kanału i na wysokości Ismailii zaatakowali Anglików. Bezskutecznie. Zdziesiątkowani ogniem armatnim z okrętów pośpiesznie podali tyły.

W czasie II wojny światowej na Kanał Sueski ostrzyli sobie zęby Niemcy i Włosi. Mussolini już w styczniu 1940 roku wydał rozkaz bombardowania strefy kanału. W lecie 1942 roku generał Rommel zbliżał się pancernymi zagonami pod Aleksandrię i był niemal pewny, że zawładnie całym Egiptem, dopóki nie doznał klęski pod El Alamein. Po wojnie Anglicy nadal nie opuszczali Egiptu. Nie pomagały noty, rezolucje ONZ i protesty.

W 1952 roku w Ismailii wybuchły starcia zbrojne pomiędzy Egipcjanami i Anglikami. W nocy z 22 na 23 lipca 1952 roku „Związek wolnych oficerów" z Naserem na czele obalił proangielskiego króla Faruka. Odtąd wydarzenia stawały się coraz burzliwsze i potoczyły się błyskawicznie. Egipt staje się republiką. W 1956 roku, po siedemdziesięciu latach, Brytyjczycy definitywnie wycofują się z Egiptu. Ale po Anglikach na horyzoncie pojawia się Izrael, państwo, które od momentu powstania w 1948 roku znajdowało się w faktycznym, nieprzemijającym stanie wojny ze wszystkimi sąsiednimi państwami arabskimi. Na tym tle rząd egipski wydaje zakaz przepływu przez kanał statkom izraelskim traktując ten akt jako samoobronę. 26 lipca 1956 roku prezydent Naser ogłasza decyzję o nacjonalizacji Kanału Sueskiego. Izrael, Anglia i Francja odpowiedziały na tę decyzję brutalną interwencją zbrojną. W nocy z 29 na 30 października 1956 roku wojska izraelskie rozpoczęły działania wojenne na Synaju i szybko zbliżały się do Kanału. Francja i Anglia rozpoczęły interwencje pod fałszywym pretekstem ochrony strefy Kanału.

5 listopada brytyjscy i francuscy spadochroniarze wylądowali w rejonie Port Saidu i Portu Fuad. Tylko stanowczej postawie ZSRR zawdzięcza Egipt, że agresja w 1956 roku została zatrzymana i interwenci wycofali się z niesławą. Wówczas to też, po raz pierwszy, w strefie Kanału Sueskiego pojawili się obserwatorzy ONZ. Niewiele jednak zdziałali, jako że Izrael nie dopuścił ich na swoją stronę. Szykował się bowiem do ponownej agresji, którą wykonał 5 czerwca 1967 roku. W wyniku wojny czerwcowej Izrael zagarnął cały Półwysep Synaj i zajął pozycję na azjatyckim brzegu kanału. Objęty strefą bezpośrednich działań wojennych Kanał Sueski, przestał funkcjonować, tym bardziej, że jego tor zabarykadowały zatopione statki i pola minowe. Nagłym uderzeniem, w dniu 6 października 1973 roku, Egipcjanom udało się sforsować kanał, przełamać umocnienia linii „Bar-Lewa", i odepchnąć Izraelczyków w głąb Synaju. Interweniowała Rada Bezpieczeństwa, nastąpiło przerwanie ognia, ustanowiono strefę buforową między wojskami i wprowadzono Doraźne Siły Zbrojne ONZ, w których składzie znaleźli się także Polacy. A Kanał Sueski otwarto dopiero równo w osiem lat po czerwcowej agresji, 5 czerwca 1975 roku. Przez te osiem długich lat Egipt tracił rocznie ponad dwieście milionów dolarów wpływów z Kanału. Dziś kanał funkcjonuje w pełni. Japońskie firmy pogłębiają i poszerzają jego koryto. Ale Izraelczycy, którzy nadal nie mają prawa korzystania z tego światowego szlaku wodnego, będąc w stanie wojny z Egiptem, znajdują się w odległości zaledwie kilkudziesięciu kilometrów od jego brzegów. I nie wiadomo co dalej. Jak dotąd, tylko jedno jest pewne: że nie Lesseps lecz Ernest Renan miał rację. Niestety.

POLSKA BAZA W SUEZIE

JESZCZE w kraju, na zgrupowaniu przed wyjazdem do Egiptu, zostałem zaproszony do Suezu na ... marynowane grzybki. Przysiadłem się w klubie oficerskim do stolika, przy którym delektowało się kawą dwóch sympatycznych oficerów, jak się potem okazało — kapitan Kazimierz Jankowski i porucznik Tadeusz Szczygielski. Choć to maj, było diabelnie zimno, a za oknem smętnie siąpił śnieg z deszczem. Zamówiłem mocną, gorącą herbatę. No i tak poznaliśmy się. Kapitan Jankowski wyznaczony został na dowódcę kompanii PWJS w Suezie, a Szczygielski na jego zastępcę do spraw politycznych. Spodobali mi się na pierwszy rzut oka i pomyślałem sobie, że lepiej nie mogli ich dobrać. Dowódca, elegancki, przystojny, energiczny oficer, z tych, za którymi dziewczęta same się oglądają, a których żołnierze po prostu lubią i starają się we wszystkim naśladować, zastępca, może mniej rzucający się w oczy, ale rezolutny, tryskający humorem i widać, że w każdej sytuacji potrafi się znaleźć. Wypiliśmy, co było do wypicia, pogadaliśmy trochę o życiu, no i na pożegnanie umówiliśmy się w Suezie. Wtedy to właśnie Jankowski, grzybiarz zawołany, obiecał, że tam, w Suezie, poczęstuje mnie marynowanymi grzybkami, których parę słoików żona zapakowała mu do walizki. No więc jadę do Suezu. Koniec lipca. Jankowski i jego kompania od dwóch miesięcy gospodarzą w Suezie, a jej wydzielone placówki funkcjonują wśród piachów i gór południowego Synaju — w Mike i Abu Zenimie. Przez slumsy przedmieść Ismailii droga na Suez wybiega w pustynie i prowadzi wzdłuż Kanału Sueskiego, który, zwłaszcza w okolicy Jeziora Gorzkiego — cieszy oko sylwetkami mijających się tutaj statków. Jezioro Gorzkie przyciąga wzrok i budzi refleksje. To tutaj, na Jeziorze Gorzkim, w czasie czerwcowej agresji Izraela w 1967 roku stanęły na lata trwający przymusowy dryf dwa polskie statki „Bolesław Bierut" i „Djakarta". Ich dzielne załogi nie tylko znosiły świst pocisków na głowami, przeloty bojowych samolotów, ale pomagały, często z narażeniem życia, egipskim rozbitkom nadciągającym z rozpalonego słońcem zajętego przez Izraelczyków półwyspu Synaj. W czerwcowej wojnie Żydzi brali do niewoli tylko oficerów, rzadziej podoficerów. Żołnierzy egipskich rozbrajano i pozostawiano na pustyni. Łatwo sobie wyobrazić, co ich czekało w ponad 40° słońcu, wśród skał i piachów, bez pożywienia i bez wody. Kto zliczy ile ofiar pochłonęła synajska pustynia? Ci zaś, którym udało się dowlec nad brzeg kanału czy Jeziora Gorzkiego, stawali w niemej rozpaczy. Była woda, ale nie można się było jej napić. Słona. Był drugi brzeg, widoczny gołym okiem, na którym znajdowali się swoi, ale sił nie starczyło, żeby doń dopłynąć albo wróg dopłynąć nie pozwolił. Setki zdesperowanych i rannych egipskich żołnierzy zawdzięcza w tamtych strasznych dniach swe życie bohaterskim załogom „Djakarty" i „Bieruta". Nasi marynarze, nie bacząc na grożące im bezpośrednie niebezpieczeństwo, po kilkanaście razy dziennie czynili szalupami wyprawy na synajski brzeg, zabierali żołnierzy egipskich i ratowali przed niechybną śmiercią. Wtedy rząd i społeczeństwo egipskie nie miało dla bohaterskich marynarzy po prostu słów wdzięczności. Dziś mam niejakie wątpliwości, czy niektórzy z tutejszych, poza bezpośrednio uratowanymi, nie zaczynają o tym powoli zapominać.

Zmienia się krajobraz. Piaszczyste wędrujące wydmy zostają w tyle. Wjeżdżamy w teren pokryty żwirowatymi piargami. Na drodze, co jakiś czas, przegroda z beczek i egipskie wojskowe posterunki. Beczka, zwyczajna baryłka po ropie naftowej, to w Egipcie rzecz ważna i nader poręczna. Nadaje się do wszystkiego i na każdą okazję. Z beczek biedacy klecą swoje domy, w beczkach magazynuje się pożywienie i wodę, beczki służą jako ogrodzenie, są drogowskazami na pustyni, a napełnione piaskiem — zastępują wały ochronne i kulochwyty. Na widok nadjeżdżającego białego samochodu ze znakami UN żandarmi wojskowi w czerwonych beretach, opięci białymi pasami, z pistoletami maszynowymi w ręku odsuwają beczkę i przepuszczają nas bez kontroli. W oddali widać góry. Nagie. Skaliste. A u ich podnóża, nad brzegami pięknej błękitnej zatoki, leży miasto Suez. Dziś liczy już sobie ponad 300 tysięcy mieszkańców. W czasie wojny czerwcowej miasto było, podobnie jak Ismailia i Port Said, niemal całkowicie ewakuowane. Wjeżdżamy na przedmieście, przecinamy tor kolejowy i szosę prowadzącą do Kairu. To na tej szosie, na 101 kilometrze od Suezu, 18 stycznia 1974 roku zostało podpisane porozumienie o wycofaniu wojsk izraelskich na wschodni, azjatycki brzeg Kanału Sueskiego, na odległość około 30 kilometrów od jego koryta. Polacy przy tym byli. Polscy saperzy z pierwszego kontyngentu płk. Jarosza sprawdzali czy teren, gdzie miało odbyć się spotkanie — nie jest zaminowany. Suez zarówno w czerwcu 1967 roku jak i podczas ostatniej wojny październikowej — był wielokrotnie bombardowany i poddawany ostrzałowi artyleryjskiemu. Miasto i port zostały w znacznym procencie zniszczone. Wielu mieszkańców Suezu zginęło. Szczególne niebezpieczeństwo groziło miastu podczas ostatniej wojny, w październiku 1973 roku, kiedy to Izraelczycy wykonali przeciwuderzenie i przedostali się ponownie na afrykański brzeg Kanału Sueskiego, między Jeziorem Gorzkim a Suezem. Siła uderzeniowa Izraelczyków była znaczna. Gen. Sharonowi udało się przeprawić około 20 tysięcy żołnierzy i około 500 czołgów. Powstało zagrożenie dla Kairu, a zwłaszcza dla Suezu, który został okrążony. Miasto jednak nie zostało zdobyte. Wiele „Schermanów" i „Pattonów" — czołgów produkcji amerykańskiej, zatrzymało się na zawsze u jego bram. Do dzisiaj kilka z nich pokazują Egipcjanie na wystawie zdobycznego sprzętu wojennego, tuż przy zniszczonym i nieodbudowanym nadmorskim bulwa-

Kamena str. 10

rze. Do dzisiaj też miasto nie zaleczyło jeszcze wojennych ran. Wiele domów, ulic, całych dzielnic czeka na odbudowę. W tym wielka rafineria ropy sprzedana w swoim czasie Egiptowi i wybudowana przez Polskę. Właśnie w pobliżu tej rafinerii, w willowej dzielnicy, nie daleko od wód Zatoki Sueskiej, stacjonuje kompania inżynieryjna kpt. Kazimierza Jankowskiego.

Polacy znaleźli się w Suezie dokładnie 1 maja 1974 roku. Przybyła tutaj wydzielona grupa z głównej bazy polskiego kontyngentu rozlokowanej w Heliopolis, dzielnicy Kairu. I od tamtej pory w zajętych wówczas domkach stacjonują. Gdy piszę te słowa — dziesiąta już zmiana. I każda, jak dobry nasz obyczaj wojskowy każe, stara się, żeby to miejsce stało się coraz bardziej funkcjonalne i przytulne. Tak się złożyło, że sierż. szt. Kazimierz Naplocha, podoficer sanitarny, był w Suezie w maju 1974 roku, a teraz jest po raz drugi. Co się zmieniło? Przede wszystkim samo miasto nie do poznania. Tłumy mieszkańców. Wybudowano całe nowe dzielnice. Uporządkowano nabrzeża, uruchomiono port. Kanał Sueski, który straszył zablokowanymi wrakami zatopionych statków. Tu, gdzie dzisiaj idziemy wykąpać się w zatoce, były zapory przeciwdesantowe, minowe pola i zwalone słupy trakcji elektrycznej. Domki, które dzisiaj prezentują się w otoczeniu palm daktylowych, tamaryszków, limb i eukaliptusów naprawdę ładnie i schludnie, wtedy, kiedy Polacy przyszli tutaj pierwszy raz, przedstawiały przysłowiowy obraz nędzy i rozpaczy. Jankowski i Szczygielski, jak zwykle gościnni i serdeczni, z nieukrywaną dumą pokazują swoje gospodarstwo. Wszędzie wzorowy porządek, nawet u remontowców sierż. Lenczowskiego, którzy jak zwykle robotę mają czarną. Sam Lenczowski, którego ilekroć tu byłem zawsze zastawałem w parku naprawy samochodów umorusanego, z podwiniętymi rękawami, nie może się nachwalić swoich chłopaków z drużyny remontowej, a zwłaszcza st. szer. Romana Piątka i szer. Józefa Bogdana. Tym dać dwa wraki, a oni potrafią z tego szmelcu zebrać trzy samochody. Drobiazgi ich denerwują. Na przykład akurat brakuje im uszczelek. Tak jak w tym filmie. Lenczowski kline, ale razem z kierowcą Stara-660, st. szer. Tadeuszem Kajewskim, własnym przemysłem, na moich oczach, uszczelkę wyprodukowali i star jutro wyruszy z wodą na Synaj. Tak jak pozostałych kilkadziesiąt cystern z polskiej bazy w Suezie. Główne zadanie kpt. Jankowskiego i jego żołnierzy polega na produkowaniu uzdatnionej wody i dostarczaniu jej do posterunków indonezyjskich, ghańskich i fińskich rozrzuconych w buforze na południowym Synaju. Zadanie wcale nie łatwe. Wody potrzeba dużo. Odległości wielkie. Drogi trudne. Albo górskie, albo zasypane piaskowymi zaspami. A do tego codzienna uciążliwa przeprawa przez kanał. Dlatego baza w Suezie ma dwie wysunięte placówki w Mike i Abu Zenimie. Ponadto część samochodów nocuje często po drugiej stronie kanału, na tzw. Tangerze u Indonezyjczyków. Dla większości żołnierzy Suezu dzień jak co dzień ma następujący przebieg. O 6.00 „Pobudka". „Pobudka wstać" — wzywa ich głos st. szer. Jana Gładysiewicza z radiowezła. Śniadanie, które podobnie jak całodzienny posiłek przygotowują kucharze Teoludzki, Baniak i Aksamit, pod nadzorem szefa od żywienia st. chor. Żabickiego i wyjazd na przeprawę przez kanał. Przeprawiają się motorówką, bo samochody — cysterny, z wieczora zatankowane do pełna, czekają na nich w Matku albo na Tangerze. I rozjazd po Synaju z wodą, na którą, jak na zbawienie, czekają na pustynnych posterunkach żołnierze ONZ. Tu żadnej nawalanki być nie może. I nie ma. „Very good, Bolanda!" — raduje się na widok naszego „woziwody" czarny ghański kolega. „Polaska friend", klepie go po ramieniu śniady i zwinny jak kot Indonezyjczyk z dalekiego archipelagu. Nawet powolni, i nie przejawiający na zewnątrz stanu wewnętrznych uczuć, nasi sąsiedzi zza Bałtyku — Finowie, uśmiechają się do Władka, Heńka czy Poldka i wyciągają prawicę w mocnym, koleżeńskim uścisku.

Ciąg dalszy nastąpi

Zbigniew Domino

ZAPOMNIANE ZABYTKI LUBELSZCZYZNY W RYSUNKU RAJMUNDA URBANOWICZA

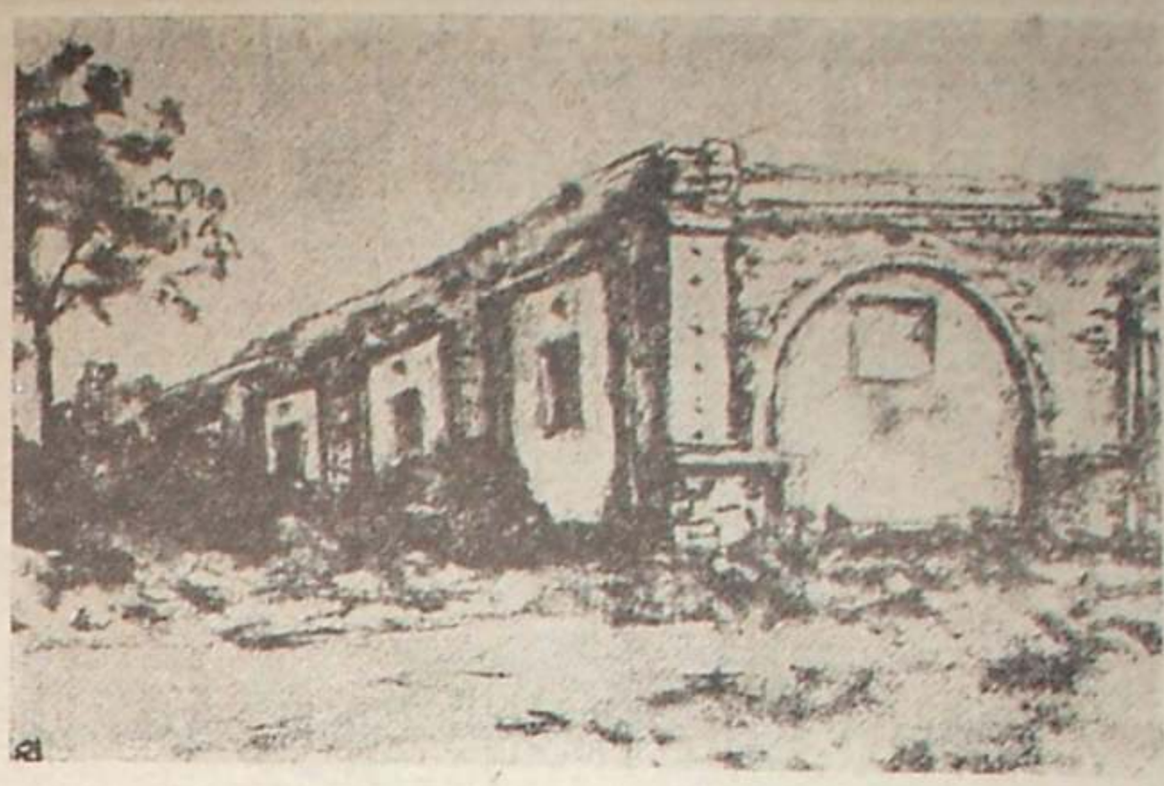

Bychawa, obora dworska — Fot. J. Kolasa

Początki zespołu rezydencyjnego w Bychawie sięgają XVI wieku. W pierwszej ćwierci tego stulecia wznieśli tu swój zamek Pileccy, po których rezydowali w Bychawie Myszkowscy, Wietescy, Pisarscy. Kolejny właściciel Bychawy-Podzamcza, bo tak nazywano tą posiadłość do ostatnich lat, Dominik Stoiński przebudował zamek około roku 1730 na barokowy pałac. Obiekt ten, po przekształceniach za Karola Scipio del Campo dokonanych po roku 1802, przetrwał w formie ruiny do dziś.

Usytuowane opodal pałacu zabudowania gospodarcze również zmieniały swój wygląd. Wśród zachowanych do dziś budynków kilka z klasycystycznymi elewacjami powstało w pierwszej połowie XIX stulecia, gdy dobra te dziedziczyli Wolk-Laniewscy. Pozostałe są młodsze, sięgają końca XIX i początku XX wieku, a więc okresu posiadania Bychawy przez Budnych. Tak też można datować przedstawioną w rysunku Rajmunda Urbanowicza murowaną oborę, budynek o wydłużonym rzucie i historyzującej szacie zewnętrznej, której istotnym elementem jest ciąg jedenastu ślepych arkad, rozpiętych na elewacji frontowej. Mimo zniszczeń, staranne opracowanie architektoniczne dawnego budynku gospodarczego nadal stanowi o jego walorach zabytkowych, na co trafnie zwrócił uwagę w swym rysunku Rajmund Urbanowicz.

(ak)

MIŁOSZ BENEDYKTOWICZ: „RAZEM Z MOIM PSEM"

Fot. A. Polakowski

15 LAT - 200 POZYCJI WYDAWNICZYCH

ROK stary zamknął piętnastolecie istnienia twórczej działalności lubelskiego Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej. Instruktaż i koordynacja setek punktów informacyjnych oznaczonych bardzo już popularnymi literkami *it* to jedna z dziedzin działalności WOIT. Stykamy się z nią na co dzień w hotelach, kinach, biurach podróży, na dworcach i w wielu innych miejscach. Raz jesteśmy zadowoleni z uzyskanych tam informacji, innym razem brak nam tego, co chcielibyśmy się dowiedzieć. Ale z biegiem czasu panie informatorki wiedzą coraz więcej, bo praktyka własna oraz wymiana doświadczeń i zasłyszanych pytań w innych punktach pozwala im rozszerzać posiadane wiadomości i lepiej poznawać zainteresowania różnych ludzi odwiedzających Lublin i Lubelszczyznę.

Ale jak już wspomniałem — działalność punktów *it* to tylko część działalności WOIT ułatwiającej życie turystom i popularyzującej swe okolice. Tak się bowiem dobrze złożyło, że jubileusz XV-lecia istnienia zbiegł się WOIT-owi w czasie z wydaniem przezeń dwuchsetnej pozycji edytorskiej. Dwieście tytułów przewodników, folderów, informatorów, plakatów zapoznających z naszym regionem to już się liczy.

Dzięki działalności wydawniczej lubelskiego WOIT region lubelski przestał być *tabula rasa* dla polskich i obcych turystów. Od Janowa Podlaskiego i Serpelic po Roztocze i Biłgoraj, od Kazimierza i Puław po Hrubieszów i Kodeń rozciągają się zainteresowania wydawnicze WOIT, tak jak i zainteresowania turystów odwiedzających Lubelszczyznę w jej tradycyjnych szerszych granicach.

I to nie tylko turystów polskich, ale i zagranicznych, 7 bowiem informatorów i 8 plakatów zostało wydanych obok polskiej wersji językowej także w jednym do pięciu języków obcych. W językach obcych wydane zostały m. in. informatory o Lublinie, Kazimierzu, Puławach, Nałęczowie, Zamościu, osiedlach LSM oraz plakaty, a wśród nich plakat pokazujący Janów Podlaski, będący stałym obiektem zainteresowania amatorów koni arabskich z całego prawie świata.

Wydawnictwa WOIT cechuje szeroki zakres zainteresowań. Obok tradycyjnych ośrodków wypoczynkowych i turystycznych, jak Kazimierz, Lublin, Zamość, wiele uwagi poświęcili autorzy WOIT do niedawna jeszcze mało znanym jeziorom pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Obok znanego nawet ze szkolnej mapy Polski Roztocza spopularyzowane zostały szlaki podmiejskie Lublina.

Nie zapomniano o trasach turystycznych związanych z najnowszą historią Polski, takich jak szlaki partyzanckie od Lipy do Suśca i od Lubartowa do Rąblowa. A rozwój społeczno-gospodarczy regionu reprezentują informatory o Zakładach Azotowych w Puławach, Instytucie Puławskim czy znanych szeroko osiedlach LSM.

Nie sposób wymienić wszystkich pozycji wydanych przez lubelskie WOIT. Trzeba tylko jeszcze wspomnieć, że tą dwusetną zamykającą 15 lat działalności jest informator zatytułowany „Kraśnik i okolice" z 43 str. tekstu, 19 zdjęciami i mapą.

tgw

Wirtemberska jakiej nie znamy

DWA tomy „Z kręgu Marii Wirtemberskiej" wydane ostatnio z dużą starannością przez PIW, opracowane przez historyka literatury polskiej UMCS — doc. dr hab. Alinę Aleksandrowicz, stały się nie byle jaką atrakcją czytelniczą i bibliofilską. Mimo dużego nakładu — 10 tys. egz. zniknęły z Domów Książki w błyskawicznym tempie. Nic dziwnego. Jest to po pierwsze edycja z rękopisu, co nie zdarza się już często.

Teksty Marii Wirtemberskiej, Juliana Ursyna Niemcewicza, Jana Maksymiliana Fredry, Ludwika Kropińskiego ujrzały po raz pierwszy światło dzienne. Dotąd spoczywały w rękopisach, czekając około 150 lat na badaczy literatury. Po drugie jest to edycja o wnikliwie przemyślanej koncepcji — rozprawy historyka literatury, teksty, ilustracje stanowią zwartą całość. Także strona graficzna ma charakter nie tylko zdobniczy, ale i interpretacyjny. Dodatkowym argumentem przemawiającym za atrakcyjnością tekstów dla lublinian jest ich związek z naszym regionem, a ściślej ze środowiskiem literackim i kulturalnym Puław przełomu XVIII i XIX wieku.

Edycje poprzedzone są obszernymi rozprawami wstępnymi, przedstawiającymi wnikliwie nie tylko utwory wydobyte z archiwalnego kurzu, ale i problemy ważne dla literatury polskiej okresu Oświecenia i Preromantyzmu.

Urzekła mnie szczególnie postać Marii Wirtemberskiej, córki Adama Kazimierza Czartoryskiego, znanego pisarza, działacza politycznego i mecenasa sztuk oraz jego żony Izabeli z Flemingów. Zainteresowania literackie Wirtemberskiej rozwinęły się w pełni po roku 1795. Kształtowały się one w emocjonalnej atmosferze nowych Puław — sentymentalnej i patriotycznej.

Po upadku niepodległości, kiedy przed społeczeństwem polskim pojawiła się tragiczna perspektywa utraty cech narodowych, Izabela Czartoryska podjęła decyzję powrotu do zniszczonych Puław i rozpoczęcia pracy nad ich odbudową. Trzeba tu przypomnieć, że za pomoc udzieloną Insurekcji Kościuszkowskiej, Puławy zostały prawie całkowicie zdewastowane. Po roku 1795 przyjęły zaś na siebie misję pielęgnacji historycznych pamiątek i wspomnień o ojczyźnie. Powstawać zaczęły znane nam dziś muzea: przede wszystkim Świątynia Sybilli i Dom Gotycki. Nowe Puławy zrywały w widoczny sposób z rokokową manierą Powązek — poprzedniej podwarszawskiej rezydencji Czartoryskich; łączyły się natomiast w swoich głównych dążeniach z programem podtrzymywania narodowej tradycji w myśl zasady, że „przeszłość może być przyszłości mistrzynią". Ten napis („przeszłość—przyszłości") — położony na frontonie Świątyni Sybilli, zwanej pierwotnie Świątynią Pamięci — przewodzić miał i kierować podstawowymi dążeniami patriotycznymi.

We wstępach i publikowanych tekstach rysuje się przejrzyście główna myśl przewodnia — ewolucja puławskiego światopoglądu. Widzimy, jak spod tkanki uciech dworskich i wyrafinowanych wiejskich zabaw przebijać zaczyna coraz mocniej przekonanie o potrzebie zajęcia się sprawami ojczyzny i jej przyszłości. Wiersz Niemcewicza „Miłość Ojczyzny" kończy więc beztroski nastrój „błękitnych sobót" — salonowych spotkań w pałacu Wirtemberskiej. W rozprawie Aliny Aleksandrowicz czytamy:

Wreszcie... dochodzi do głosu znamienne dla polskiej literatury okresu, przełamujące stereotyp dworskości przekonanie o nadrzędnym miejscu pierwszej miłości, którą jest „Miłość Ojczyzny Świętej". I tak oto spoza toposu Wenery i Kupidyna przebłysnął nagle pozornie stary i wyszarzały, ale zawsze w naszej literaturze obecny topos „Świętej Miłości Ojczyzny". Wprowadził go, rzecz znamienna, czołowy poeta i działacz owych czasów — Niemcewicz, autor „Powrotu posła". Motyw patriotyczny pojawi się także, nieco później, i w utworach Wirtemberskiej.

Z dużą zadumą i refleksją zagłębiamy się w „Synonimy", krótkie opowiastki epickie lub wierszowane, realizujące postulat wzbogacenia języka polskiego. I znowu parę słów niezbędnych wyjaśnień. Dla polskiego społeczeństwa przełomu wieków, rozbiory i upadek niepodległości były wstrząsem nie mniejszym niż rewolucja francuska dla zachodniej Europy. Uświadomiły one konieczność prac nad ugruntowaniem polskości, konieczność pielęgnacji tych cech, które różnią jeden naród od drugiego. Umiłowanie wspomnień o dawnej ojczyźnie, rodzinnego języka i kultury stało się programowym hasłem. Wzbogacanie języka polskiego, poszukiwanie bliskoznaczników, nowych słów, utrzymywanie mowy polskiej w czystości było nakazem i obowiązkiem patriotycznym. Język polski miał wyprzeć ponadto zakrzepłe bastiony francuszczyzny, którą posługiwały się dwory arystokratyczne. Prace na tym polu podjęte w Puławach i kontynuowane przez Wirtemberską zasługują na szczególne podkreślenie. Inna rzecz, że owe „Synonimy" stały się także dobrym pretekstem do tworzenia zgrabnych, a niekiedy i dowcipnych opowiadań literackich.

W tomie drugim Alina Aleksandrowicz prezentuje nieznaną podróż Marii Wirtemberskiej zatytułowaną: „Niektóre zdarzenia, myśli i uczucia doznane za granicą". Z rozprawy poprzedzającej tekst dowiadujemy się, że tzw. „podróż sentymentalna", przeciwstawiająca się gatunkowi uczonych sprawozdań z wojażów lub wędrówkom „krajowidzów" nie znana była dotąd na gruncie polskim. Jedyny bowiem jej egzemplarz autorstwa Wirtemberskiej spoczywał w rękopisie. Aż dziw bierze, że po tylu latach nie znamy właściwie całkowicie literatury polskiej. Okazuje się, iż zawsze istnieje możliwość jej wzbogacenia przez odnalezienie tekstów znajdujących się dotąd w rękopisach.

Na końcu obu tomów mieszczą się „Komentarze" i „Zasady edycji tekstów", z których dowiadujemy się, że odnalezienie nowego rękopisu nie jest kwestią szczęśliwego przypadku, ale długofalowej pracy, zmierzającej do penetracji archiwów polskich. Rękopisy Wirtemberskiej, Niemcewicza i innych odnalezione zostały w Krakowie. Było wiele wersji, brudnopisów, czystopisów, nowych czystopisów, które należało skonfrontować, by wybrać najlepsze, odczytać mało czytelne już dziś pismo, ustalić, jakie właściwości stylistyczne i leksykalne utworu nadają się do edycji. W rezultacie dwa nowe tomy, nowe utwory. „Podróż" Wirtemberskiej to wdzięczne dziełko, które na pewno obok „Malwiny", zyska czytelników. Alina Aleksandrowicz pisze:

Jakie walory polskiej opowieści o podróży Malwiny zasługują na szczególną uwagę? Utwór Wirtemberskiej jest zaprzeczeniem typu podróży uczonej i przygodowej oraz diariuszów z wojażu. Można uznać go za pierwszą w literaturze polskiej „podróż serca", ukazującą delikatne wzruszenia i przeżycia bohatera, za udaną próbę stworzenia rodzimej wersji podróży sentymentalnej... Wirtemberska napisała swą podróż zgodnie z założeniem nowego światopoglądu — stąd jej dodatkowa wartość jako literatury emocjonalnej pierwszej połowy XIX wieku.

Parę słów omówienia należy się stronie ilustracyjnej książki. Nawiązuje ona do najlepszych tradycji naszego edytorstwa. Elżbieta Sokołowska, odpowiedzialna za opracowanie graficzne, sięgnęła do dawnej edycji wierszy Ludwika Kropińskiego jako przykładu dobrej i zdobnej roboty wydawniczej.

PIW nawiązał do chlubnej tradycji edytorskiej, dziś już często zapomnianej, tak jak owe rękopisy wydobyte z archiwum, przez lubelskiego naukowca. W rezultacie cenne teksty, ciekawe rozprawy, wnikliwe przypisy, przemyślana edycja sprawiły, że otrzymaliśmy publikacje zaspokajające gusty nawet najbardziej wybrednych czytelników i miłośników pięknych książek.

Mieczysław Kościński

◆ „Z kręgu Marii Wirtemberskiej". Antologia. Teksty z rękopisów wybrała, opracowała i wstępem poprzedziła Alina Aleksandrowicz. (Warszawa 1978, PIW, s. 278).
◆ Maria Wirtemberska: „Niektóre zdarzenia, myśli i uczucia doznane za granicą" (Warszawa 1978, PIW, s. 174, cena I—II t. 75 zł).

Pogromca w królestwie literatów

ZIŚCIE kawaleryjską swadą przecwałował Zbigniew Irzyk przez państwo literatów tnąc na prawo i lewo ostrzem swego pióra. Najwięcej razów dostało się oczywiście młodym kamerdynerom kapryśnej Pani Literatury, ale nie brak w „Królestwie literatów" sądów krytycznych ogólniejszej natury. Autor stwierdza, że nasze życie literackie cechuje anonimowość, która jest doskonałym podglebiem dla dostatniego egzystowania miernoty i beztalencia. Krytyk popiera swe ostre sądy konkretnymi nazwiskami i ich utworami. A więc walczy o swe racje przy pełnym świetle i z otwartą przyłbicą. Piękny to i rzadki w naszym piśmiennictwie obyczaj. Oby znalazł naśladowców. Niechby wróciły czasy Peipera, Boya-Żeleńskiego, Irzykowskiego...

Szkice krytyczne Irzyka poruszają prawie wszystkie problemy pracy pisarza od debiutu począwszy, a na miejscu literata w społeczeństwie i kulturze narodowej skończywszy. Irzyk twierdzi, że nasza literatura jest chora. Przyczyn choroby dopatruje się przede wszystkim w przeroście znaczenia literatów, ludzi bez własnych przekonań — nad pisarzami. Tu antynomia: pisarz czy literat jest w książce Irzyka sprawą najistotniejszą, z której konsekwencjami boryka się właśnie schorowana literatura współczesna. Dla Irzyka „literat" ma znaczenie pejoratywne i oznacza wykonywanie zawodu, poddawanie się modom, czerpanie korzyści materialnych z pisania na temat rocznic, zgonów itp. itd. A pisarz? To ten, który tworzy z wewnętrznej potrzeby, po conradowsku wierny sobie i swoim ideałom. Szkoda, że przy okazji tych ostatnich wywodów padają tylko dwa nazwiska: Żeromski i Camus... Przypomina się tutaj cykl artykułów Stefana Kozickiego pt. „Anatomia życia literackiego", a także wielokrotne wypowiedzi Melchiora Wańkowicza piętnujące anomalie naszego życia literackiego. Irzyk idzie wiernie tropem tych publikacji, zastrzegając się jednakże, iż w ostatnich latach w dziedzinie kultury odrobiono wiele zaległości.

Irzyk wielkim głosem domaga się poszanowania indywidualności pisarskich, twierdząc słusznie, że ich zapoznawanie nie pozwoli na wspięcie się literatury na najwyższy poziom. Niemniej jednak zarzuca polskim pisarzom brak ambicji wizjonerskich, brak artystycznych kreacji naszej przyszłości. Jej autorami mogą być jedynie wielcy indywidualiści, a tych niestety brak. Tej tezie Irzyk jednak w jednym z artykułów („Prawo dewaluacji pochwały") sam sobie zaprzecza: „Nasza krytyka [...] zazwyczaj nie dostrzega wielu prawdziwie wybitnych indywidualności..." Więc jak w końcu jest: są te indywidualności, czy ich zgoła nie ma?

Tęgie baty dostały się autorom, którzy próbują pisać w swoich książkach o sprawach seksu. Irzyk sporządził swoistą antologię odpowiednich cytatów i szyderczo wykpił próby erotycznych opisów. W obronie warto przytoczyć opinię lubelskiej pisarki Matyldy Weiny, która w „Kamenie" nr 19 trafnie pisała: „Nie wszystkie sceny erotyczne są w życiu człowieka udane, cóż więc opisy!"

„Królestwo literatów" ma duży walor aktualności. Odpowiada np. krytycznie na zjawiska, które miały miejsce dopiero w roku ubiegłym, jak na przykład „sławny" cykl debiutów pod patronatem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Ale nie tylko na tym polega aktualność szkiców Irzyka. Ambicją autora było bowiem upomnieć się o aktywną obecność pisarza w życiu społeczeństwa. Wczoraj, dziś i jutro. Stąd też nie przesadna jest prognoza, że po „Królestwo literatów" sięgać się będzie często, aby przywołać celne sformułowania na miarę naszych potrzeb i ambicji kulturalnych tworzonych przez pisarzy nieobecnych w... królestwie literatów.

Emil Biela

Zbigniew Irzyk — „Królestwo Literatów", PAX Warszawa 1978, str. 141, cena 35 zł.

Dokończenie ze str. 7

Spis powszechny - 1916

Ludność okupacji, chociaż niewtajemniczona w sekrety i intencje kancelarii dyplomatycznych i wojskowych domyślała się zamiarów władz. Kierujący spisem profesor Kumaniecki, tak oceniał z związku z tym wartość danych spisowych: *Spis ludności napotkał o tyle w swym przeprowadzeniu na pewne trudności, że pewna część ludności starała się ukryć przed spisem, obawiając się, że ma on być przygotowaniem do poboru wojskowego. Częściowo odnosi się to do ludności wiejskiej w pewnych stronach kraju, ale w większej mierze do ludności izraelickiej w miastach i miasteczkach. Władze spisowe starały się w ramach możności zmniejszyć powstającą stąd niedokładność spisu — lecz prawdopodobnie — zwłaszcza o ile chodzi o miasta i miasteczka — nie udało im się to w zupełności.*

Przy wszystkich tych zastrzeżeniach spis dostarcza historykowi niesłychanie interesującego i wartościowego materiału. Pozwala m. in. na konfrontację i ocenę informacji ze źródeł opisowych, znacznie ciekawszych i przyjemniejszych w lekturze niż suche zestawienia statystyczne, przynosi też informacje, których w inny sposób nie można uzyskać. Wróćmy do Lublina. Do przytoczonego już obrazu z lipca 1915 r. dodajmy dwa miesiące późniejszą relację Karola Sienkiewicza: *Lublin nie ucierpiał wcale, z wyjątkiem spalonego dworca kolejowego i kilku fabryk podmiejskich.* Co na to statystyka? Według stanu na dzień 1 stycznia 1914 r. miasto posiadało 80 060 mieszkańców, zaś w październiku 1916 r. — 81 198. Ale skrupulatna statystyka podaje też, że do miasta włączono przed spisem przyległe miejscowości z gmin: Konopnica (M. In. Helenów, Wieniawa, Czechów), Wólka (Tatary) i Zemborzyce (Bronowice, Dziesiąta i Kośminek). W granicach terytorialnych z roku 1914 liczyło natomiast miasto w czasie spisu zaledwie 58 820 mieszkańców, straciło zatem ponad 1/4 ludności. Skonfrontujmy jeszcze jeden opis z zestawieniem statystycznym: powiat hrubieszowski, relacja K. Sienkiewicza: *„wywrócone drzewa, zburzone chałupy, na drogach porozbijane wozy i ogromne doły wyryte granatami spotyka się na każdym kroku. Tuż przy szosie i gościńcach leżą trupy końskie, niewystrzelone pociski moździerzy 30,5 cm. Ale najokropniejsze wrażenie sprawia pustka naokoło: od Raciborowic (spalonych prawie zupełnie) aż do Moniatycz, na przestrzeni kilkunastu wiorst spotkaliśmy tylko jedną błąkającą się po zgliszczach kobietę, która wracała z targu w Hrubieszowie. Chałupy opuszczone z oknami bez szyb, odór rozkładających się trupów końskich i jak powiadają nawet ludzkich, dolatujący z lasów, biegające po zgliszczach zdziczałe koty — jedyne żywe stworzenia, które tu zostały — zczerniałe i obsypujące się już zboża na pniu — wszystko to przedstawia obraz okropny ponury, niezatarty. [...] Hrubieszów nie zniszczony [...]. Za Hrubieszowem znowu ten sam obraz zniszczenia, co i koło Moniatycz. Terebin spalony doszczętnie, ocalała tylko cerkiew, ludzi nie ma; w ciągu całej drogi aż do Tyszowiec nie widzieliśmy ani jednej krowy, ani konia, ani kury...*

A komentarz statystyczny?

Rok 1913 — ludność: ok. 156 tys.; konie: 26 674; bydło: 42 552; świnie: 27 710.

Rok 1915 (1916): ludność: 57 063; konie: 2 906; bydło: 3 956; świnie: 1 449.

Opis i dane statystyczne stanowią interesujące oświetlenie sytuacji w jakiej w dwa lata później zastała ten teren kolejna, tym razem już polska, suwerenna, władza państwowa.

Statystyka okupacyjna przynosi znacznie więcej elementów charakteryzujących ówczesną sytuację w wielu dziedzinach życia społecznego. Znamienne są zarówno dane liczbowe, jak i kryteria, według których owe dane grupowano. Ze spisu 1916 r. przytoczmy jedno tylko charakterystyczne kryterium podziału ludności powyżej 6 roku życia według wykształcenia. „umie czytać i pisać", „umie tylko czytać", „analfabeta".

Jan Lewandowski

Z ŻYCIA SZKÓŁ

„Uczniak" z Czwartaków

WYCHODZI takie pismo w Polsce, w którego kolegium redakcyjnym nie ma ani jednej osoby łysej czy posiwiałej (po stronie męskiej), lub nadużywającej kosmetyków (po stronie damskiej). Jeśli dodamy, że członkowie owego zespołu nie otrzymują za swoją pracę żadnych honorariów, otrzymamy obraz wydawnictwa zupełnie egzotycznego. Na domiar wszystkiego redakcja nie posiada własnego lokalu, telefonu, skrytki pocztowej i gońca. Nie radzę jednak nikomu, aby na podstawie owego rejestru „braków" odesłał całą sprawę między bajki, w rejony czystego absurdu, swawolnej imaginacji czy innej fata morgany. Taki rutyniarz, poruszający się po świecie drogą d o r o s ł e g o doświadczenia, naraziłby się bowiem faktom oraz młodzieży ze Szkoły Podstawowej nr 6 im. R. Traugutta w Lublinie, która od marca 1973 roku, już tak długo, wydaje własne pismo pod tytułem „Uczniak".

„Uczniak" ukazuje się przeciętnie dwa razy w roku, w formacie rozłożonego zeszytu, z jednym kolorem dostosowywanym do temperatury i blasku miesiąca publikacji, ale też i do innych, bardziej symbolicznych okoliczności. Posiada 8 stron, fotografie i rysunki satyryczne, nakładem ocierając się o 1200 egzemplarzy, co można by uznać za przejaw swoistego „życia nad stan", gdyby nie fakt, że pismo ukazuje się w szkole liczącej z 1000 uczniów, a każdy z nich chce i musi — „Ja też muszę dostać „Uczniaka"!" — posiadać kolejne egzemplarze, które „zaczytywane" są również przez rodziców, szukających na łamach informacji o szkole, no i chwalących się przed znajomymi t a k i m wydawnictwem.

Jak się rzekło, „Uczniak" wychodzi od 1973 roku, narodziny swoje zawdzięczając ówczesnej dyrektorce szkoły, Marii Berzyńskiej, która jakoś szczególnie dużo uwagi przywiązywała do momentów podnoszących swoisty patriotyzm szkolny, co mądrze prowadzi zresztą obecna dyrektorka, Wanda Moskałowa. Najważniejsze przy tym, że „Uczniak" nie był i nie jest pismem oficjalnym, jakimś organem dyrekcji i rady pedagogicznej. Pod dyskretnym patronatem nauczycieli redaguje go sama młodzież, produkująca się ponadto i oczywiście na stronach „Uczniaka". I to chyba decyduje o trwałej obecności pisma w szkolnej społeczności.

„Uczniak" — to nasze zwierciadło, w którym się przeglądamy. Widzimy w nim nasze sprawy bez pozy i koloryzacji podane z humorem. Autorzy i redaktorzy — to koleżanki i koledzy, których znamy, a nie zawodowi dziennikarze. „Uczniak" jest więc prawdziwie i autentycznie nasz" — z całą powagą stwierdziła uczennica VIIIa na łamach ostatniego numeru, który ukazał się przy końcu minionego roku.

„Uczniak" ogłasza konkursy na hymn szkolny i najlepszą klasopracownię, publikuje młodzieńcze opowiadania i wspomnienia z wakacji, zamieszcza krzyżówki i testy sprawdzające znajomość zabytków Lublina, a nade wszystko pyta swoich czytelników: co sądzą o przyjaźni, jakie mają najbardziej osobiste zainteresowania, kim chcieliby być w przyszłości i co sądzą o programie szkoły dziesięcioletniej, który wdrażany jest właśnie w tej placówce — z trzyletnim wyprzedzeniem. Mały, skromny pod względem technicznym „Uczniak" pełni więc funkcję całkiem dorosłego pisma: pozwala młodej społeczności na identyfikację z mniej lub bardziej ważnymi sprawami, wchodzącymi w zakres procesu dydaktycznego szkoły, i dopuszcza młodzież do głosu, co przy autorytatywnym modelu naszej oświaty jest czymś wyjątkowym.

„Uczniak" jest też niezłym wstępem do dorosłego życia dla samych „redaktorów", o czym przekonuje choćby zwierzenie Beaty, absolwentki „szóstki":

„W klasie V zostałam zaproszona po raz pierwszy na jedną z „nasiadówek". Patrzyłam wielkimi oczami na kolegów, którzy z ożywieniem dyskutowali, używając szalenie fachowych i mądrych terminów. Między nimi czułam się mała i zielona, przecież większość z nich chodziła do VIII klasy. W pewnym momencie zapytano mnie o zdanie na temat jakiejś ankiety. Przerażona, wykrztusiłam kilka zdań i... spodobało mi się. Od tego czasu uznana zostałam za niezbędną".

Niech ktoś jednak nie sądzi, że „Uczniak" jest taki dramatycznie poważny. Nie bez powodu z inicjału tytułu pisma wyrasta rysunkowa główka o wielkich odstających uszach, stojących włosach i minie ewanego urwisa. „Uczniak" ma poczucie humoru. Oto kilka „ogłoszeń" z numeru 5:

„Miła Kasia S. w wieku lat 7 pozna Zbyszka do lat 10. Koniecznie z kompletem flamastrów".

„Dubler z matematyki do klasy VIII pilnie poszukiwany. Zgłoszenia kierować: kółko matematyczne, sala 26—27".

„Uwaga! Poszukujemy naszego kolegi, który poszedł po rozum do głowy tuż przed lekcją fizyki i dotąd nie wrócił...".

Taki jest „Uczniak" — jedyne w kraju pismo szkoły podstawowej, faktycznie redagowane przez młodzież.

T. .G

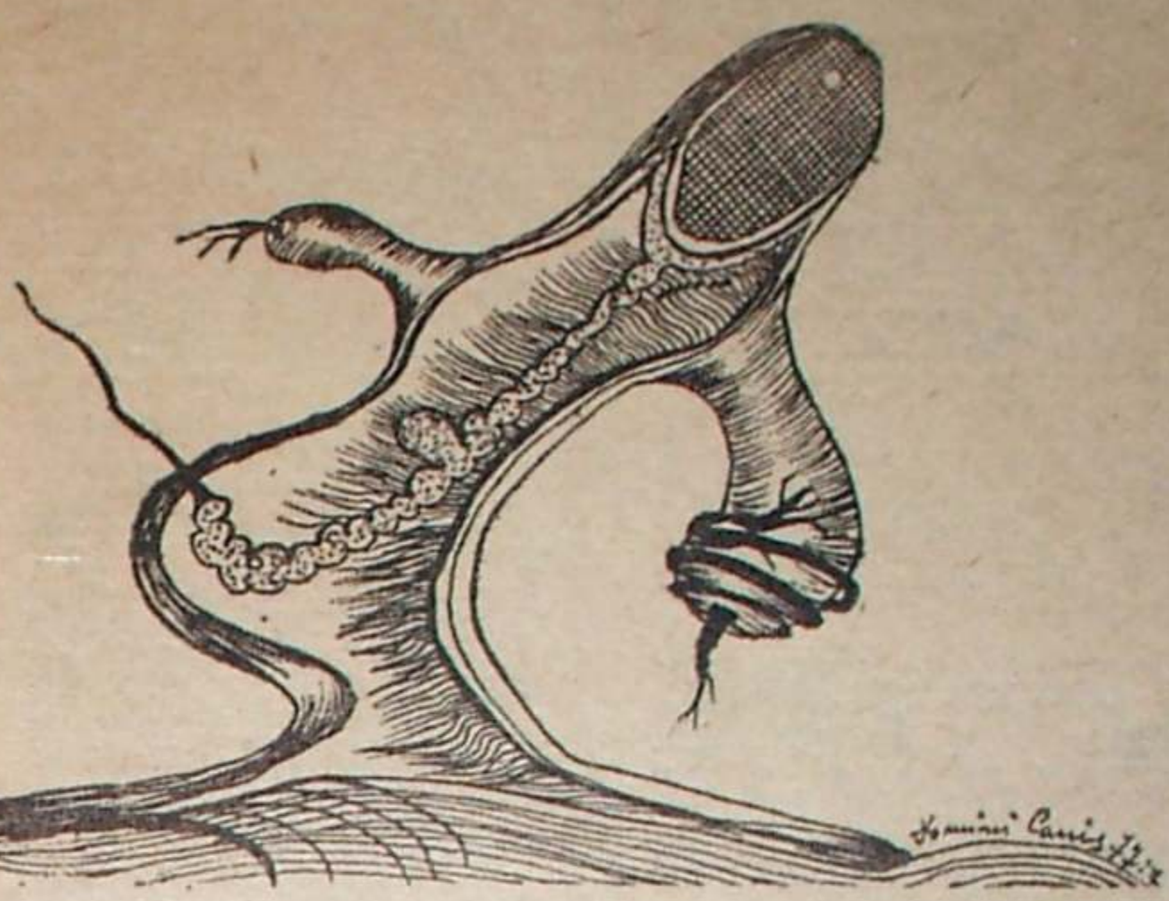

Rys. D. Opolski

Listy do gerwazego

ISTNIEJE w Polsce próg drukowalności, istnieje próg popularności. Próg drukowalności osiąga się wtedy, kiedy przynosi się do redakcji niekompromitujący wiersz. Próg popularności wtedy, kiedy zdobywa się jakąś „różyczkę", „lampkę", „winietkę", „broszkę". Również — recenzje któregoś z koryfeuszy krytyki, który w chwili dobrego humoru, albo z ochoty na oryginalność pisze o danym autorze kilka pozytywnych słów. Że Błoński i Sandauer lansują Herberta i Białoszewskiego, mogę się nie dziwić: krytyk — epatolog zawsze poszukuje materiału dla swych zaskakujących enuncjacji. Ale, że Kazimierz Wyka ukształtowany w innej akustyce poetyckiej wysoko ceni Różewicza, widzę w tym ustępstwo na rzecz aktualnego kursu, jeśli nie wyżej wymienioną tendencję.

A więc kto zdobywa popularność? Sprostuję: nikt, popularności nie ma poezja w ogóle, użyłem określenia chcąc uniknąć sztampowego „liczy się". Ale w gruncie rzeczy dlatego chcę uniknąć sztampowego, kiedy opisane tu zjawisko właśnie ze sztampą w sposobie powstawania opinii literackich tyle ma wspólnego? Sztampa niech się sztampą odciska. Zatem „liczy się" Józef Baran. Dlaczego? Dlaczego, dlaczego. Spytaj krytyków, którzy go wylansowali. Ale spytaj od siebie, mnie w to nie mieszaj, ja zwracam uwagę na co innego. Na wywiad z nim w „Kulturze" z dnia 3 XII 1978 przeprowadzony przez Marka Zielińskiego.

Na wstępie pada niewinne pytanie: „Przepraszam (...) ale czy nie mógłby Pan powiedzieć, jak zostaje się poetą?" Jeśli chodzi o mnie, spytałbym raczej kiedy się ogolił, albo ile dał za marynarkę, bo na pytanie o sposób stawania się poetą do dziś odpowiedzi nie ma, ale może obydwaj o tym nie wiedzą. Zresztą to może ja się mylę. Nie wiedział np. — kogo by tu wymienić — Adam Mickiewicz, natomiast bohater „kulturowego" interwiewu odpowiedź daje: Poetą zostaje się w ten sposób, że na początku pasie się krowy. „Książkę miałem w lewym ręku, bo w prawej był łańcuch". Nie pytam ile liczący się poeta wypasł przychówku. Domyślam się, że niewiele, bo trzymając za łańcuch można paść tylko jedną krowę. Kapitalna jest również gramatyka tego zdania. Okazuje się, że dwie ręce należą do dwu gramatycznych rodzajów: męskiego i żeńskiego.

Po czym następuje relacja o wyjściu ze wsi, o pobycie w mieście, o wylaniu z akademika. Pada wreszcie konkluzja: „Czy odpowiedziałem na pytanie dlaczego zostałem poetą". Braki w odpowiedzi znakomicie kompensuje nadmiar pewności siebie.

„Swoją poezją wytyczam szlak, jakim szedłem, powiadam jak się potykałem, jak cierpiałem, jak byłem w euforii, ale najpierw żyję". Jeśli pominiemy niezręczność wyrażenia — słowo „wytyczać" łączy się zamierzeniem, nie ze stwierdzeniem przeszłości — to zdumiewa przeświadczenie o specjalnych predyspozycjach do zajmowania się poezją z racji kolei losu... dostępnych każdemu z nas. Oczywiście nie twierdzę, że „jest się" poetą tylko wtedy, kiedy ma się życiorys wyładowany jak Cendrars, Poe, czy Villon, ale przytoczone zdanie tak poczciwie nic nie mówi, że może być wypowiedziane tylko przez kogoś, kto za niebywale doniosłe uważa wszystko, co dotyczy jego osoby.

Maluczko, a uczęstowani zostalibyśmy wiadomością o tym, co się stało w życiu Józefa Barana, kiedy miał dwa i pół miesiąca. Bo o sobie trzynasto-, dziesięcio-, a nawet sześcioletnim nie omieszkał nas poinformować. „Szedłem", „potykałem się", „cierpiałem", „byłem w euforii" — komu to coś mówi? Chyba tym, którzy trzymali krowi łańcuch odwrotnie: nie w prawej, lecz w lewej ręce.

To nawet nie narcyzm. To naiwność. Proszę np. takie zdanie: „Jeżeli piszę wiersz, który podporządkowany jest nastrojowi, wymaga reguł, to piszę według nich; jeśli szukam nowych myśli i wiem, że najprecyzyjniej wyrażę je w białym wierszu, to piszę biały wiersz". Odczyśćmy to z niedorzeczności, według której nastrój da się wyrazić tylko wierszem regularnym, a nowa myśl białym, co pozostanie? Powstanie stwierdzenie, że kiedy Baran chce napisać wiersz regularny, pisze wiersz regularny, kiedy zaś biały, pisze biały. Na to potrzeba wywiadu w „Kulturze". A także: „Natura wesoła ogląda świat jako satyrę, smutna lirycznie, zrzędliwa ironicznie, mądra refleksyjnie". Czyli satyra nie ma w sobie ironii, ktoś mądry nie może być liryczny, zrzędliwa baba nie jest zrzędliwą babą, lecz ironistką. Na takich stwierdzeniach zasadza się oryginalność poety.

W oryginalności sekunduje mu Zieliński. Mówiąc do Barana o nim samym posłużył się raz nie słówkiem „pan", ale imieniem i nazwiskiem rozmówcy, a tak mu się to podobało, że nie oszczędził sobie dwukrotnej powtórki odkrywczego stylistycznego chwytu. Widać, że Marek Zieliński jest zachwycony Markiem Zielińskim.

Wszystko to skłania do wniosku, że krytyka posługuje się metodą telewizyjną. Rzecz nie tylko w tym, że spadła do roli „prezenterki". Rzecz właśnie w metodzie. Jakiej? Jest w programie „okienko", kogoś w to „okienko" trzeba włożyć. Kogo? Znajdzie się. Przeglądnijmy tygodniki, jakieś nazwiska się powtórzą. W rozmowę wpleść zachwycającą inwencję i swobodę aranżacji (wymieniony już „Józef Baran" do Józefa Barana), jakieś „Protagoras mówi, że miarą wszystkiego jest człowiek" („Cogito ergo sum" zanadto wyeksploatowane), w końcu nie wiadomo co znaczące „Józef Baran stał się repliką podmiotu lirycznego" — i już jest „program" „show", „wszystko za wszystko". Oczywiście nie zaszkodzi łatka dla głajszaltujących przejawów współczesności. „Uniformizujemy się, czytamy te same gazety, oglądamy te same programy telewizyjne". Tak jakbyśmy nie czytali wciąż tych samych wierszy, czego dowiódł sam udzielający wywiadu, zamieszczając w jego zwycięskim finale „Pieśń miłosną (z II poł. XX wieku)", w czym mu walnie swoją od lat identyczną grafiką pomogła Bożena Wahl.

Protazy

KRONIKA KULTURALNA

● Długoletni pedagog i organizator szkolnictwa, wybitny działacz PTTK, historyk i opiekun zabytków, regionalista o szerokich horyzontach intelektualnych, publicysta, słowem — jednoosobowa instytucja społeczno-kulturalna — dr Stefan Wojciechowski obchodził niedawno 80-lecie urodzin. Przyłączamy się do tych wszystkich organizacji i osób, które w dniu jubileuszu złożyły dr. Wojciechowskiemu serdeczne życzenia i gratulacje.

● Michał Strzemski z Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa opublikował książkę pt. „Nasze Puławy", która mając charakter pamiętnikarski obejmuje pięćdziesiąt lat życia i działalności autora w miejscu Czartoryskich i „Azotów". Jest to rzecz okraszona szczegółem obyczajowym, warta uwagi nie tylko regionalistów.

● W pomieszczeniach drukarni „Zwierciadło" w Chełmie powstanie Muzeum Manifestu PKWN (a nie „Muzeum PKWN", jak mylnie poinformowała jedna z gazet lubelskich). Otwarcie placówki przewidziano w roku 36-lecia ogłoszenia tego historycznego dokumentu.

● W grudniu w WDK Białej Podlaskiej eksponowano fotografie o tematyce hipologicznej, autoryzowane przez Mariana Gadzalskiego, wybitnego specjalistę w tej branży, a także zdjęcia obrazujące przebieg plenaru malarskiego w tamtejszej stadninie koni, wykonane przez Zbigniewa Jaśkiewicza i Z. Stankiewicza. Przy okazji informujemy, że ukazał się piękny album fotograficzny M. Gadzalskiego.

● „Czart" pojawił się znowu młody i przypomina to najlepsze reinkarnacje. Bo rzadko kto tak efemerycznie się ujawnia w naszej lubelskiej kulturze, by tak z konsekwencją wracać do czynu. Życzymy zespołowi dalszych dobrych tekstów i plonach, kompletów na sali, burz i tajfunów oklasków, albowiem dobry „Czart" tyfa wart.

● Dom Polski istnieje w Wiedniu (od 1901 r.). Pracownie Konserwacji Zabytków mają oddział w Lublinie, a ponieważ Lublin zaprzyjaźnił się nieco z naddunajską stolicą, więc nasi konserwatorzy sposobią się do remontu siedziby polonijnej, która po szczęśliwym zakończeniu sprawy pomieści szkołę, świetlicę, bibliotekę. Związek „Strzecha" oraz pracownie dla osób zajmujących się problematyką związków polsko-austriackich.

● Tymczasem w samym Lublinie coś się nam od czasu do czasu wali, ostatnio — dwa zabytkowe budynki w pobliżu poczty, które zresztą, jak twierdzą fachowcy, nadawały się do uratowania. Ponieważ jednak w pobliżu ma przebiegać trasa komunikacyjna, więc nie daj szczęściu czekać etc. Rekonstruować czy zabudowywać? — na ten temat „Kurier Lubelski" urządził w styczniu dyskusję redakcyjną z udziałem kilku osób, które w różny sposób ustosunkowały się do sprawy. Nas najbardziej zaintrygowała taka sytuacja: zdaniem arch. Z. Liczbika, przesłanym na piśmie, wyburzenie starej poczty, właśnie rozebranej z powodów awaryjnych, było zaplanowane i wcześniej uzgodnione z miejskim i wojewódzkim konserwatorami zabytków — gdy tymczasem biorąca udział w dyskusji miejska konserwatorka zabytków nic na ten temat zdawała się nie wiedzieć.

● Psycholog Andrzej Mańka, od dłuższego czasu urządza co poniedziałek w Hrubieszowie spotkania z muzyką współczesną, w których bierze udział przeciętnie 70 osób! Wiceminister W. Zin może być dumny ze swojego rodzinnego miasta.

● Podajemy konto Społecznego Funduszu Ochrony Zabytków: NBP III O/M Warszawa, 1036-9700-139-85. Przy okazji zachęcamy — bo instytucja troszczy się o nasz wspólny majątek, o naszą polską pamięć — do wstępowania do lubelskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Członkowie wspierający (instytucje, organizacje, zakłady produkcyjne) mogą wpłacać na rzecz Towarzystwa nie więcej, niestety, niż 500 zł rocznie. Ale i to dobre. Bliższe informacje można uzyskać pod telefonem lubelskim nr: 226-84.

Listy do kameny

„CIĘŻKO"

Nie należę do tych szczęśliwców, którzy mogą kupić i przeczytać każdy numer „Kameny". Dlatego nie znam całej dyskusji dotyczącej spraw poruszonych przez panią Annę Jerecką z Lublina w 24 numerze „Kameny". Ale poznałem jej fragmenty zamieszczone w numerze 26.

Treści niektórych wypowiedzi poruszyły mnie do tego stopnia, że chwyciłem pióro, by podzielić się własnymi doświadczeniami i przemyśleniami w sprawach tam zasygnalizowanych.

Szczególnie trudno przyjąć za dobrą monetę wypowiedzi Tadeusza Kwasika z Puław.

Sprawa pierwsza, którą pragnę poruszyć to wnioski, jakie zamieścił w swej wypowiedzi Tadeusz Kwasik, a brzmią one następująco: „Dziwię się, że opublikowaliście ten list (chociaż skrócony) bez komentarza redakcyjnego".

A ja się nie dziwię. Bo i list Tadeusza Kwasika też nie jest opatrzony komentarzem redakcyjnym. A na dobrą sprawę wymagałby tego. Ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o dyskusję, a nie jej podsumowanie czy o postawienie „kropki nad i", mimo że sprawa nie jest zakończona.

Sprawa następna to noszenie teczek szkolnych. Pani Anna Jarecka z Lublina pisała do redakcji „Kameny", że jej syn mający 11 lat życia nosi codziennie teczkę szkolną ważącą około 7 do 8 kg. Matka uważa, że to jest zbyt duży ciężar, a wysiłek nie konieczny.

Ja chodziłem do klasy siódmej odległej od mego domu rodzinnego 7 do 8 km. Mieszkałem bowiem w Borowie, gminy Gorzków, powiatu krasnystawskiego, a szkoła siedmioklasowa była wtedy w Gorzkowie.

Chodziłem pieszo i ani razu nie spóźniłem się i nie opuściłem ani jednego dnia. Ceniłem bowiem bardzo wysoko to, że tylko paru uczniów z naszej wsi zostało przyjętych do tej klasy w tej szkole. Byłem zadowolony, że mogłem się uczyć.

Teczka moja była cięższa aniżeli ta, którą nosi syn pani Anny Jareckiej z Lublina.

Była to drewniana skrzynka, którą nosiłem nie na paskach, ale na sznurkach. A one mocno wpijały się w barki i w ramiona. W skrzynce było wiele zeszytów, podręczników, kawałek chleba, buteleczka z atramentem, przybory do pisania, do malowania, do wykonywania „prac ręcznych" i inne przedmioty konieczne w szkole.

Dziś lata te wspominam z pewną dozą sympatii. Skrzynka mi nie ciąży. Nie mam o to pretensji do nikogo. Może nawet dobrze się stało, że skrzynka była ciężka. Ćwiczyłem mój charakter, ćwiczyłem wolę i hartowałem ciało.

A jednak nie mogę zgodzić się z wypowiedzią Tadeusza Kwasika. Mówi on, że bez potrzeby pani Anna Jarecka troszczy się o syna. Uważa, że domaganie się matki, by ulżyć dziecku w noszeniu ciężkiej teczki wynika z matczynej nadgorliwości opiekuńczej.

Uważam, że rację ma matka. Nie ma żadnego sensu noszenie teczek szkolnych. A szczególnie teczek tak ciężkich. Dźwiganie tych ciężarów niczego nie ułatwia, a jedynie utrudnia życie ucznia szkolnego.

W szkole zreformowanej uczniowie powinni mieć własne szafeczki, a w nich wszystko co jest im potrzebne do nauki. W domach swych rodziców czy opiekunów powinni mieć odpowiednie zeszyty i podręczniki do ćwiczeń domowych. Ale tych winno być coraz mniej. Wszelkie bowiem ćwiczenia szkolne winny być wykonywane w szkole pod kierunkiem i pod opieką nauczycieli.

Wolny czas ucznia w domu rodzinnym powinien być przeznaczany na czytanie lektur, na korzystanie z radia, a telewizora i na zabawy, a także na pomoc rodzicom w zakupach, w opiece nad młodszym rodzeństwem, na czytanie prasy i uczenie się wierszy na pamięć a także na ćwiczenia w nauce języków obcych.

Sprawa następna to gabinety szkolne czy też pracownie uczniowskie. Jedni uważają je za dobrodziejstwo, inni za coś, co mniej daje korzyści, a więcej straty.

Przepracowałem w szkołach 33 lata. Z tego czasu 17 lat w takich, w których były i są gabinety przedmiotowe.

Z moich spostrzeżeń i obserwacji wynika, że istnienie w szkołach gabinetów przedmiotowych ma wiele stron pozytywnych. Ma też wiele negatywnych. Dobrze by było, gdyby w szkołach mogły być klasy tradycyjne i gabinety przedmiotowe.

Brak gabinetów przedmiotowych napewno ujemnie wpłynąłby na poziom

ekran i widz

Blaski i cienie superprodukcji

SŁYNNA operacja powietrzno-desantowa „Market-Garden" z końca września 1944 r., którą przeprowadzili alianci w rejonie Arnhem w Holandii przyniosła raczej mierne rezultaty w stosunku do swoich ambitnych założeń. Angielski film Richarda Attenborougha „O jeden most za daleko", który właśnie oglądamy na polskich ekranach, również nie spełnia do końca pokładanych w nim nadziei — na historyczny fresk tej dramatycznej bitwy jaką przez dziewięć dni toczyli amerykańscy, brytyjscy i polscy spadochroniarze z wojskami niemieckimi.

Złączyły się w nim liczne blaski i cienie filmowej superprodukcji wojennej. Tak więc, choć wychodzimy z kina ze świadomością ogromnego i uczciwego wysiłku, jaki włożyli realizatorzy w warstwę dokumentacyjną filmu, w sceny batalistyczne, w pirotechnikę, mamy wrażenia niedosytu. Gdzieś oto pękła dramaturgia, film rozbił się na szereg efektownych i doskonale wyreżyserowanych epizodów, a my pogubiliśmy się trochę wśród wielu planów czasowych i geograficznych, wśród różnych oddziałów wojsk uczestniczących w wielkiej wojennej operacji.

Mimo wszystko pozostaje się pod dużym wrażeniem tego z ogromnym rozmachem nakręconego filmu. Dla nas tym bardziej interesującego, że w desancie pod Arnhem brała udział także 1 Polska Samodzielna Brygada Spadochronowa pod dowództwem gen. Stanisława Sosabowskiego. Walczyła na najbardziej ciężkim odcinku, wspierając 1 Brytyjską Dywizję Powietrzno-Desantową gen. Roberta Urquharta, tracąc w walkach 34 p.oc. stanu osobowego.

Polakom poświęcono w „O jeden most za daleko" dwie obszerne sekwencje: ukazują one lądowanie brygady pod niemieckim ogniem oraz przeprawę polskich żołnierzy przez nurty Renu, gdy spieszą oni na pomoc Brytyjczykom generała Urquharta. Wreszcie postać samego gen. Sosabowskiego jest ukazana z wielkim szacunkiem, jawi się on tutaj jako nie tylko dzielny żołnierz, ale i mądry, przewidujący dowódca i strateg, odbijając wyraźnie na korzyść od wielu alianckich generałów-sztabowców. Jego postać kreuje doskonały amerykański aktor Gene Hackman („Francuski łącznik", „Strach na wróble") budząc respekt nawet wśród niezbyt przychylnych filmowi krytyków. *„Richard Attenborough przerzuca się nieustannie z nastroju egzaltacji dla heroizmu na polu walki (...) do krytycznego, chwilami wręcz karykaturalnego opisu sztabowych debiberacji, w których Gene Hackman — Sosabowski reprezentuje jedynego rozsądnego wśród ugalowanych debilów"* — pisała m. in. Dominique Rabourdin, francuski krytyk filmowy.

Nie dyskutując ze zbyt chyba soczystą oceną scen (nie aż tak bardzo dosadnie ujętych przez samego Attenborougha) „sztabowych" przez Dominique Rabourdin, zwróćmy jednak uwagę na potraktowanie przez realizatorów sylwetki gen. Sosabowskiego. Nie występuje on tutaj jak to zwykle bywało dotąd w angielskich czy amerykańskich filmach (a już w szczególności w superprodukcjach), jako przedstawiciel szlachetnego i bitnego, ale też przesadnie romantycznego i nieco nierealnego życiowo „sojusznika znad Wisły", lecz jako światły i mądry dowódca, dorównujący, bal — przewyższający wojskową wiedzą i zdolnością przewidywania wielu wysokich oficerów alianckich pracujących nad przygotowaniem operacji „Market-Garden".

Gdy po wielu latach gen. Urquhart pisał swoją książkę „Arnhem", tak wspominał dowódcę polskiej brygady oddanej wówczas pod jego dowództwo: *„Gdy wyjaśniałem nadesłany nam plan, Sosabowski, który był profesorem w warszawskiej Wyższej Szkole Wojennej, przerywał mi wielokrotnie: „Ale Niemcy, generale... Niemcy!". Coraz wyraźniej widzieliśmy, że reakcji niemieckiej wcale nie brano pod uwagę, Sosabowski uzmysławiał ją sobie dość jasno i był zdecydowany nawiązać walkę co najmniej na równej stopie z wrogiem, który najechał i spustoszył jego kraj; jego protesty wynikały (...) z wściekłości, że moglibyśmy zostać pozbawieni zwycięstwa z powodu braku przewidywań w planowaniu".*

W podobnym duchu traktowany jest filmowy gen. Sosabowski i to właśnie, oraz sposób ujęcia w ogóle „polskiego tematu" w „O jeden most za daleko" stanowi m.in. o walorach i blaskach t.j superprodukcji. Przypomnijmy, że udział Polaków w filmie „Bitwa o Anglię", został potraktowany zupełnie marginesowo (nota bene po raz pierwszy po wojnie zaakcentowali Anglicy w ogóle ich udział w tej bitwie) i w kontekście „szalonych" pilotów-straceńców cechujących się przede wszystkim kawaleryjską fantazją.

Kolejny walor „O jeden most za daleko" to zrezygnowanie z tak często przewijającego się w filmach tego typu wątku miłosnego mającego stanowić dodatkową atrakcję dla widzów, którym nie odpowiada sama tylko rekonstrukcja bitewnych działań, „męskie" sceny i wszechobecna batalistyka. Zwykle wypada on mdło i banalnie — przykładem niedawno u nas wyświetlana „Bitwa o Midway", gdzie doskonałe sceny batalistyczne i świetna operatorka są przetykane, co pewien czas, żałośnie naiwną historią miłości (rozdartej względami politycznymi!) młodej Japonki i amerykańskiego lotnika. W czasach wojny „nasycanie" frontowych tematów, wątkami miłosnymi, nie raziło, a było nawet istotną potrzebą chwili; przypomnijmy sobie jak wielkie wrażenie robił radziecki film „O szóstej wieczorem po wojnie". Dzisiaj jest zabiegiem niełatwym dla reżysera, a w wielkich wojennych panoramach filmowych — najczęściej się nie sprawdza.

Rezygnując z miłości na ekranie, nie pożałowali sobie za to realizatorzy „O jeden most za daleko" wielkich gwiazdorów. Występuje tutaj Dirk Bogarde obok Seana Connery, Gene Hackman obok Ryana O'Neala, Laurence Oliver spotyka się na ekranie z Robertem Redfordem itd. Wśród czternastu międzynarodowych sław aktorskich tylko jedna kobieta, bergmanowska aktorka Liv Ullmann.

Dla nakręcenia filmu zaangażowano kilka tysięcy statystów, zmobilizowano prawie cały dostępny sprzęt wojenny z tamtego okresu, zdjęcia realizowano w większości w autentycznej scenerii.

Pamiętajmy, że operacja „Market-Garden" była śmiałym pomysłem Montgomery'ego obejścia Linii Zygfryda i zakończenia wojny późną jesienią 1944 r., że miała jednak ona licznych przeciwników zdających sobie sprawę z niewielkich możliwości jej zrealizowania. Oraz, że w tle, można się dopatrywać wojennej rywalizacji Amerykanów i Anglików.

Toteż wybierając się — a naprawdę warto! — na „O jeden most za daleko" przydałoby się sięgnąć do literatury fachowej lub pamiętnikarskiej. I wtedy już śledzić rozgrywającą się na ekranie bitwę z pełnym rozeznaniem, nie zważając na blaski i cienie superprodukcji.

M. D.

prac dydaktycznych. A brak tradycyjnych klas lekcyjnych już ukazał nam podstawe niedociągnięcia wychowawcze.

Jest faktem, że uczniowie szanowali w klasach to co w nich było. Dbali o czystość klas, bo to były ich klasy. Nawet po wielu latach, jako absolwenci tych szkół, szukali swoich klas i swoich ławek, a nawet swoich miejsc w ławkach. To można było widzieć podczas zjazdów absolwentów.

Negowanie wartości wychowawczej przywiązania do tego rodzaju szczegółów do prywatnej czy osobistej własności jest antypedagogiczne.

Czego się Jaś nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał. W tym porzekadle ludowym jest zawarta duża doza mądrości życiowej.

Mamy obecnie wiele dowodów, że nasza młodzież niszczy wiele przedmiotów będących własnością społeczną. Niszczy urządzenia w szkole, w parkach, w pociągach, w autobusach itd. Zasmiecone są gabinety szkolne, zasmiecone korytarze, zasmiecone parki, zasmiecone pociągi czy autobusy. Dlaczego?

Ano właśnie dlatego, że od ponad trzydziestu lat wdrażamy młodzieży, by szanowała dobro społeczne. A pomijamy milczeniem poszanowanie dobra własnego. I to się mści.

Kto nie nauczy się szacunku tego, co jest jego własne, ten nigdy nie uszanuje tego, co społeczne.

Poszanowanie okolicy trzeba zaczynać od poznania domu rodzinnego a następnie przechodzić dalej i dalej.

Szacunku dla dobra powszechnego nie nauczyliśmy i nie nauczymy się dotąd, dokąd nie naprawimy błędu pedagogicznego. Trzeba mniej mówić o tym szacunku, a zacząć wdrażać dzieci i młodzież do szanowania tego, co jest ich własne. Kto nauczy się szanować własne krzesło, kto nauczy się szanować swoje miejsce w ławce szkolnej, ten nie będzie niszczył ławek w parkach.

Tak patrząc na niektóre problemy uważam, że w pedagogice każda krańcowość jest szkodliwa. Krańcowością jest przekształcenie szkolnych klas w gabinety przedmiotowe. Gabinety są konieczne, ale nie musi być ich tyle, ile jest klas i ile przedmiotów. Lepiej mniej gabinetów, a dobrze wyposażonych. Potrzebne są także klasy typu tradycyjnego, bo realizowały wiele celów wychowawczych, a cele dydaktyczne także można było w nich osiągać wcale nie gorsze aniżeli obecnie osiągane są w gabinetach przedmiotowych.

Wędrówki uczniów z gabinetów do gabinetów i wystawanie na korytarzu pod drzwiami ma wiele ujemnych stron pedagogicznych.

Piotr Rudnicki
Żagań

* * *

Nie znam treści listu p. Jareckiej, zamieszczonego swego czasu w „Kamenie". Wiem jednak w czym rzecz na podstawie wypowiedzi innych czytelników, opublikowanych w ostatnim numerze pisma z 1978 roku... Wagę tornistra, teczki można zmniejszyć o połowę i więcej, korzystając np. ze znanego podziału książek na tomy. Produkujmy więc podręczniki szkolne dwuczęściowe — może oprócz języka polskiego dla niektórych klas. Teczki będą lżejsze, a podręczniki tak szybko nie ulegną zniszczeniu. Podobnie z zeszytami: czy materiał musi być zapisany w jednym z danego przedmiotu? Niektóre cieńsze zeszyty po wykorzystaniu można by przy tym prędzej przeznaczyć na makulaturę.

Przypuszczam, że wiele szkół praktykuje jeszcze jedno dogodne rozwiązanie: podczas lekcji uczniowie korzystają z podręczników będących własnością szkoły, swoje trzymając w domu. Warto upowszechnić tę technikę pracy.

Kolejne problemy szkoły to: stosunek uczniów do dorosłych, obojętność na wiele zjawisk publicznych itp. Jest to jednak osobny rozdział. (...)

J. Witkowski
Bydgoszcz

„PRASA LUBELSKA PISAŁA"

W numerze 25 „Kameny" z ub. roku, w rubryce „Prasa lubelska pisała" (przed 50 laty) przeczytałem o „najhaniebniejszych dolegliwościach sportowych miasta". Nie wiem, czy przytaczacie treść artykułów z dawnych lat dosłownie, czy też dokonujecie skrótów. W każdym przypadku podaje się czytelnikom, którzy nie znają nawet z opowiadań tamtych lat, informacje nie odpowiadające logice i stanowi faktycznemu.

Przed 50 laty, tj. w roku 1928... W okresie tym byłem uczniem starszych klas gimnazjum humanistycznego i czynnym sportowcem AZS Lublin w kilku dziedzinach sportu z wyróżnieniem piłki nożnej. A oto według moich ustaleń i pamięci te bardzo niewłaściwe informacje z rubryki w cytowanym numerze pisma:

„Lublin dławi w swych murach kilkaset tysięcy młodzieży", a dalej ponad 80 000 mieszkańców nie ma ani jednego porządnego boiska piłkarskiego..." — miano pisać 50 lat temu. Ale skąd te kilkaset tysięcy młodzieży, jeżeli Lublin liczył według autora 80 tys. mieszkańców?!

Następnie stwierdza się, że młodzież „spaceruje po zaśmieconych ulicach..." Tymczasem ulice te tamtych latach nie były wcale zaśmiecone, gdyż pilnowano i karano dozorców domów za nie zamiecenie chodników, nie zgarnięcie śniegu itp.

Boisk zaś była dostateczna liczba, były korty tenisowe, tory kolarskie, sale gimnastyczne, ślizgawki... Te, powiedzmy, kilka tysięcy młodzieży w wieku sportowym miało gdzie spędzić czas. Lublin posiadał kilkanaście klubów sportowych z przewagą sekcji piłki nożnej. Najpoważniejsze z nich, to: WKS Lublin i „Lublinianka" (później połączone pod nazwą WKS „Unia"), AZS Lublin, TGS Sokół, KS Plage i Laśkiewicz. „Lublinianka" w pewnym okresie miała 13 drużyn piłki nożnej, a inne kluby przynajmniej 2 — 3 drużyny. Naturalnie, były i sekcje koszykówki, siatkówki, boksu, kolarskie, lekkoatletyczne, ping-pongowe i inne.

Piszący te słowa grał w AZS z nieżyjącym już prof. dr. Stanisławem Krzykalą, znanym fotografikiem Edwardem Hartwigiem i innymi. W „Lubliniance" grali reprezentanci kraju: Władysław Król i Ryszard Łyszkowski oraz tacy zawodnicy, jak Józef Moskal, Wielgusiak — grający później w klubach ligi państwowej. W Lublinie stosunkowo często występowały drużyny zagraniczne dobrej marki, jak słynny „Hakoach" Wiedeń.

W szkołach średnich wychowanie fizyczne było postawione na dobrym poziomie. Organizowano mistrzostwa szkół w różnych dziedzinach sportu. Było również kilkanaście przynajmniej drużyn harcerskich, prowadzących akcję wycieczkowo-obozową, szkolenia praktycznego i działalność wychowawczą na wysokim poziomie. (...)

Józef Skórski
Garbów

Od redakcji: Informacje z dawnej prasy lubelskiej podajemy z reguły in extenso. Z naturalnych względów nie weryfikujemy faktów i opinii zawartych w wiadomych publikacjach — przekracza to nasze możliwości i mija się z celem rubryki „z myszką". W tym konkretnym przypadku nie wykluczone, że to właśnie p. Skórski ma rację. Pozostaje nam tylko domyślać się, jakie okoliczności spowodowały przytoczoną opinię dziennikarza z lat dwudziestych na temat ówczesnego sportu lubelskiego itp. — co znakomicie zresztą mieści się w konwencji rubryki. 1

POCZTA literacka

M.B. Suchań. Osobliwa jest logika Pani piosenek. Weźmy np. strofę:

„Raz kiedyś mi matka nuciła
piosenkę więzienną zza krat.
Raz kiedyś cyganka wróżyła,
że miłość ma zwiędnie jak kwiat".

Czyżby matka nuciła piosenkę znajdując się w zakładzie penitencjarnym? To Pani chciała powiedzieć? Poezja dokumentuje, że matkę widzimy zazwyczaj w innym miejscu.

G.D. Bełżyce. Niestety. Niespójność wyrazów w pańskich poprzednich tekstach dała się jeszcze tłumaczyć „rozpiętością skojarzeń". Proces ten obecnie postąpił na tyle, że tekst stał się nieczytelny. Nie działa nawet tym pozaintelektualnym rezonansem, jaki dał się wyczuć poprzednio. Nie znaczy, że chcę Pana sprowadzić z obranej drogi. W poezji sprowadzać i doprowadzać się można tylko samemu.

A.G. Bielsko-Biała. Prawdę powiedziawszy, te teksty nie mają cech poetyckich. Są to zwykłe stwierdzenia o najzwyczajniejszych sprawach. Nie ma w nich nawet tej przekory, która każe oponować przeciw utartym rymotwórczym szablonom i prowadzi w stronę prozaizmów. Proszę popatrzeć na utwór zaczynający się od słów „przyszedłem do domu". Po tej wstępnej konstatacji następują informacje o zmęczeniu nóg, o sennym wzroku, o podparciu głowy rękami. Co zostało powiedziane? Nie wystarczy te ręce porównać do słupów, by banalne stwierdzenia przerodziły się w poezję. Przyznaję, że wybrałem przykłady świadczące najwymowniej przeciw Panu, ale autor nawet takich nie powinien dawać czytelnikowi do ręki.

L.J. Lubartów. Pani nie przebiera w tematach. Każdy jest dobry, który potrafi „rozkołysać" doznanie i strofę. Tymczasem te „kołyszące" nie mają poetyckiej nośności. Działają na krótko, na moment przyzwolonej ufności, po którym następuje pustka i czczość. Radzę unikać tematów „oficjalnych". Najsilniejsze jest to, co jest napisane „od siebie".

M.P. Lublin. Gratuluję tak świetnego samopoczucia wobec spóźnienia na starcie do druku. Jakże to dziś rzadkie zjawisko! Jeśli otrzyma się coś z wyznań osobistych autora, są to wynurzenia ponure, jak spowiedź jutrzejszego skazańca. Jakby na świecie nie było już promieni, gwiazd, ptaków. Owszem, świadomość poetycka nie poprzestaje na tych „naiwnych" przejawach zewnętrznej rzeczywistości, poza tym jesteśmy rzeczywiście zatruwani przez wzrost cywilizacji technicznej z jej przemysłem chemicznym, ale coś w rodzaju samooszustwa jest też cennym składnikiem ludzkiej samowiedzy. Wybitne spełnienia poetyckie dają tego dowód. Czy np. Wierzyńskiego „Wiosna i wino" albo „Wróble na dachu" to naiwniutkie rymowanki? A przecież samo w nich słońce i naga radość. O to właśnie chodzi: w poezji potrzebna jest muzyka dobra, a już obojętne — w tonacji minorowej czy majorowej. Gratuluję również Pani z powodu tak zręcznego stylistycznie listu. Kilka słów, a widać, że umiemy trzymać pióro. Może by tak w kierunku prozy? Nie chcę odstręczać od poezji, ale coś mi się wydaje, że mam rację. Ścieżka do źródła Hipokrene jest już bardzo wydeptana, a woda przez częste i często daremne czerpanie zmącona. W każdym jednak razie — najpierw — matura.

L.K. Lublin. Wiersz „Filozofia dziecka" świadczy o pewnej wrażliwości. Właściwie nie zupełnie to odpowiednie słowo, bo zwykle łączy się ono z przeczuleniem, skłonnością do egzaltacji, nadwrażliwością, a nie potrzeba budzić w sobie specjalnych predyspozycji, by po ludzku reagować na otaczające zjawiska. Wiersz jest pełen prostoty i tą prostotą znaczący. Myślę, że z czasem znajdzie Pan swój poetycki wyraz. W każdym razie poszukiwania zaczęte są z właściwej strony.

S.Z. Tarnogród. Miewa Pan dobre pomysły. Sam „scenariusz" utworu posiada wymowę. Sceny się zręcznie komponują, uzupełniają, warunkują. Zupełnie nie jak w dzisiejszych filmach „sensacyjnych".

Ale realizacja! Tu pięta Achillesa. Nie można poprzestawać na wyrażeniach tak zdawkowych i oklepanych. Szczególnie gdy kompozycyjny szkielet jest udany. Proponuję rozebrać go z tych „kątów oczu", „mglistych poświat księżyca" i „serc podchodzących pod gardło", a ubrać w mięso mowy naturalnej i własnej. Coś z tego może być.

W.G. Bełżyce. Tu na odwrót. Istna kasza tatarczana epizodów połączonych ze sobą tylko rozmachem nie kontrolującego siebie autora. Troszczy się Pan tylko o to, aby dużo się nawitali, aby pozapalali mnogą ilość „Glewontów", aby się nasłuchali komunikatów radiowych — bohaterowie powieści. Żeby czytać, trzeba sobie zrobić skorowidz osób, inaczej czytelnik się gubi. Autorze, litości!

G.N. Rzeszów, J.J.-K. H.Z. Temace — Lipnik, C.P.K., R.W. Warszawa A.Z. Nowa Huta, A.B. Brzeziny, S.S. Sandomierz, Z.P. Kozły, J.S. Łuków, H.W. Tychy, Z.K. Łańcut, J.U. Lublin, [illegible] Wyszków, T.S. Żołków [illegible] nie [illegible]

KRZYŻÓWKA (nr 2)

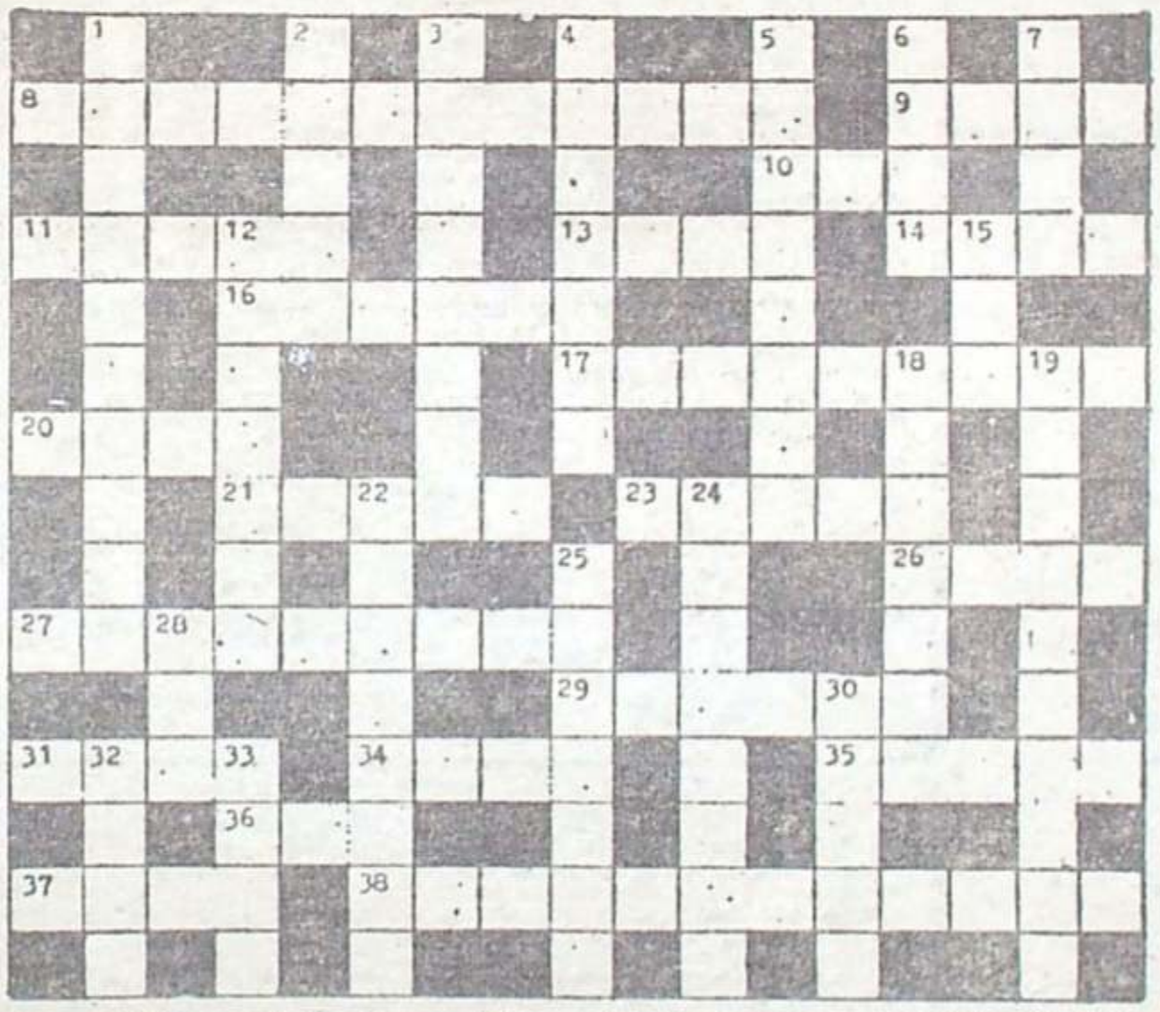

Poziomo: 8. pisarz polski z przełomu XIX i XX wieku, autor powieści historycznych dla młodzieży, 9. stolica europejska, 10. okres dziejów, 11. wytworne lody, 13. morska podróż, 14. trójkątny przyrząd, 16. miasteczko nad Wieprzem w pobliżu Zamościa, 17. rosyjski poeta m. in. autor poematu „Komu się dobrze żyje w Rosji", 20. miara długości, 21. jezioro na Pojezierzu Iławskim, 23. silny upał, 26. muzułmański władca, 27. Teodor Jeż, 29. piękne imię kobiece, 31. dziura, otwór, 34. imię męskie, 35. potraw, 36. król zwierząt, 37. przełożony, 38. powieść Bolesława Prusa.

Pionowo: 1. polski pianista i pedagog, wielokrotny juror Konkursów Chopinowskich, 2. dzieło plastyka, 3. poeta, biskup warmiński, 4. żyrant, 5. Maksym Gorki, 6. legendarny założyciel starej stolicy Polski, 7. miasto na trasie Warszawa — Lublin, 12. czwarty przypadek, 15. był, gdy nie było nas, 18. odbiorca przesyłki, 19. współczesny pisarz polski, kierownik literacki krakowskich teatrów, 22. colt lub nagan, 24. piosenkarz, laureat opolskiego festiwalu, 25. z Trzema Koronami, 28. broń z ciętwą, 30. lutowy solenizant, 32. do słuchania, 33. grecka litera.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 26.

Poziomo: London, Adyga, Szela, symbolizm, rzecz, Koran, Konopacka, korba, pies, piozy, Piła, łyko, Anna, Odra, Satyr, heca, Azory, magistrat, sanie, efekt, Bartelski, zagon, Bryll, rasizm.

Pionowo: ostrokoł, meteor, laska, Dobrowolski, dumka, gwardian, piec, sinus, Arystoteles, kaper, broda, płacz, Praga, Kocynder, asystent, husky, ateizm, obelga, mebel, góra.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 26 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Bohdan Bieńkowski, 20-325 Lublin Droga Męczenników Majdanka 13 m 1, Wacław Mazurek 22-352 Fajsławice woj. Lublin, Stanisława Gaś 95-200 Pabianice, Bugaj 74 m. 61, Maria Zawisza — Szpital 22-200 Włodawa.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Maćkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78,—

Jednostki gospodarki uspołecznionej instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki, piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe. Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 27

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia.

Nr indeksu 36251

Adres redakcji 20-029 Lublin [illegible]wskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 z-ca [illegible]acz 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe pod adresem redakcji

czas. 2552/1979/2

Książki ze strychu

Czy lubicie stare, pożółkłe kartki? Broszury o treści sensacyjnej, których smak ma tyle do zawdzięczenia ich anachroniczności? Z pewnością, skoro takim powodzeniem cieszy się jeszcze secesyjny ornament, Robert i Bertrand, a także Tango Milonga. Otóż „Nos" poszedł na strych i tam wiedziony zapachem staroci wyszperał dla Was książeczkę T. Straszewskiego „Z Wersalu do klasztoru" wydaną przez „Rój" w cyklu „Słynni kochankowie". Oto jej pierwszy odcinek: piękna Luiza de La Vallière staje się kochanką Ludwika XIV. Co będzie dalej? Czytajcie nie zapominając o zapartym tchu i wypiekach na twarzach. Wśród najgorliwszych Czytelników zostaną rozlosowane cenne nagrody w postaci chusteczek do nosa.

Rys. K. Kozłowski

Marian Karczmarczyk

DROBNYM ŚRUTEM

Jesteśmy wszyscy ulepieni z tej samej gliny, ale brak nam ostrożności, bo nawzajem rozbijamy się o siebie.

●

Stale depcze innym po piętach i tłumaczy to tym, że idzie odważnie do przodu.

●

— Ja jestem oddany dla sprawy! — krzyczał. Jak się okazało, była to jego osobista sprawa nie budząca zainteresowania ogółu.

KSIĄŻKI ZE STRYCHU

Z Wersalu do klasztoru

T. Straszewski

KSIĄŻKI ZE STRYCHU

Ona

Z ram portretu słynnego malarza z XVII wieku, Mignard'a, spogląda na nas, otoczona aureolą jasno blond włosów, słodka twarzyczka Luizy Franciszki de La Vallière, najszlachetniejszej, lecz też zapewne najnieszczęśliwszej z tak licznych kochanek „Króla Słońca", Ludwika XIV.

Mówią nam o tym jej wielkie, smutne oczy, osadzone pod pięknym łukiem ciemnych brwi i niewinny melancholijny uśmiech na jej nieco za szerokich, lecz pełnych ustach.

Zaiste, niewielu z władców pochwalić się może ulubienicą, która by go tak mało kochała jako króla, dla jego blasku monarszego, a tak bardzo dla jego przymiotów osobistych.

Luiza La Vallière pochodziła z dobrej starofrancuskiej rodziny, a nawet krew Burbonów płynęła w jej żyłach.

Urodziła się w Touradon 6 sierpnia 1644, jako córka gubernatora Ambolse, markiza de La Vallière i Franciszki Le Pravet. Bardzo wcześnie straciła ojca, i matka jej wyszła powtórnie za mąż za markiza Saint Remi, który był troskliwym opiekunem małej Luizy i jej młodszego brata.

W dziecinnym jeszcze wieku uległa przykremu wypadkowi, a mianowicie spadła z konia i złamała nogę. Od tego czasu, źle wyleczona, całe życie trochę kulała.

Luiza nie była piękna w całym tego słowa znaczeniu: miała jednak, poza licznymi przymiotami umysłu i serca, bardzo dużo wdzięku i urok dziewczęcego, czym zniewalała sobie ludzi. Głos jej przy tym miał być tak miły i dźwięczny, że, gdy kto go raz usłyszał, już go nie mógł tak łatwo zapomnieć.

Ponieważ majątek Luizy nie odpowiadał jej znakomitemu pochodzeniu, matka i ojczym jej postanowili, gdy skończyła 16-ty rok życia, oddać ją na dwór Henrietty angielskiej, żony brata królewskiego Filipa, w nadziei, że zrobi tam prędzej stosowną dla siebie partię.

Bohaterka nasza nie znalazła na dworze tym wprawdzie odpowiedniego dla siebie małżeństwa, ale za to spotkała ją większa kariera, niż mogli spodziewać

1.

się jej rodzice; imię jej było przez dłuższy czas na ustach wszystkich i przeszło nawet do potomności; szczęścia jej jednakże to nie przyniosło.

Była ona już prawie rok damą dworu, gdy piękna Henrietta, chcąc ukryć swój romans z królem przed okiem zazdrosnego małżonka, użyła jej jako pozoru dla zbyt częstych odwiedzin królewskich i wtenczas to los, czy przypadek, a raczej obmyślana gra sprytnej kokietki spowodowała, że król, porzuciwszy swą piękną szwagierkę, zwrócił się ku Luizie.

On

Ludwik XIV mógł śmiało uchodzić za jednego z najpiękniejszych mężczyzn swego czasu.

Miał on wyraziste, męskie oblicze o pięknych ognistych oczach, wydatnych rysach, dumnym orlim nosie i ustach, jakby przeznaczonych do całowania. Nosił wytworną perukę o brunatnych kędziorach, spadających, według mody ówczesnej, aż na ramiona. Wyniosła, arystokratyczna jego postać była pełna szlachetności, a zachowanie — prawdziwie monarsze, nakazujące szacunek, lecz równocześnie ujmujące i pełne wdzięku.

Kochał się w bogatych strojach i wspaniałych uroczystościach dworskich, lecz nade wszystko uwielbiał piękne kobiety, względem których był zawsze uprzejmy i nie przeszedł koło żadnej by nie uchylić kapelusza.

Bratowa jego, Liselotte, mówi o nim: „Król jest wobec kobiet pełen galanterii, która jednak niejednokrotnie graniczy z nieprzyzwoitością, a nawet wyuzdaniem. Wszystkie kobiety są dla niego dobre, gdy Amor ugodzi go swoją strzałą. Wszystko mu jedno, czy to dama najpierwszego towarzystwa, pokojówka, a nawet zwykła dziewczyna wiejska. Zwraca uwagę na jedno: mianowicie na ich piękność".

Edward Fuchs, niemiecki historyk obyczajowy, zrywający nielitościwie ze wszystkiego iluzje, powiada nam w swojej „Sittengeschichte", że Ludwik XIV nie grzeszył zbytnią czystością, że toaleta jego ranna ograniczała się jedynie do zwilżenia twarzy i rąk wodą kolońską, a nawet że jedna z późniejszych

2.

jego kochanek, pani de Montespan, zarzuciła mu podczas jakiejś mniej czułej sceny iż mimo wielu wylanych na siebie perfum... wcale nie... pachnie!!

Uwierzmy jednak lepiej że złośliwy historyk przesadził w swoim opowiadaniu bo gotowe nam to zepsuć piękną idylię miłosną wytwornego „Króla Słońca" ze słodką, uroczą naszą bohaterką.

Niemałą przeszłość miłosną miał młody, bo zaledwie 22-letni monarcha, gdy poznał Luizę de La Vallière.

Pierwszą kobietą, która zapoznała go z kunsztem kochania, była dama dworu jego matki, Franciszka Beauvais. Niezwykła różnica wieku zachodziła między kochankami, gdyż król kończył dopiero lat 14, a jego mentorka 43. Na domiar złego, była ona mocno brzydka i niedowidziała na jedno oko. Wyżej wspomniana, dowcipna a złośliwa Liselotte, druga żona brata królewskiego Filipa Orleańskiego, nazywa ją „jednooką jędzą". Przypuszczalnie Ludwik XIV nie okazał się jej zbyt wdzięcznym i prędko porzucił swą mało uroczą mentorkę. Raz jednak zapoznawszy się z tajnikami miłości, młodziutki król zasmakował w nich i stał się wkrótce jednym z najpierwszych donżuanów swojej epoki.

Po kilku przelotnych miłostkach zajął się siostrzenicami swego pierwszego ministra i jak dotychczas wszechwładnego pana Francji, kardynała Mazarini'ego, siostrami Mancini.

Pierwsza pozyskała jego serce Olimpia, późniejsza księżna Soissons. Niedługo jednak ku wielkiemu z jej strony żalowi i zazdrości zdołała zatrzymać króla. Piękna, lecz równie głupia, jak złośliwa, nazwana „la Bécasse" (głupia gęś) prędko zniechęciła Ludwika swym zachowaniem, zbyt nawet jak na dwór francuski swobodnym i frywolnym. Zwrócił on wtenczas swe uczucia ku jej młodszej siostrze Marii.

Maria podbiła króla swą inteligencją i wykształceniem, może także przez kontrast z piękną, lecz głupią Olimpią. Zaczęło się od wspólnej lektury, a skończyło się na wielkiej, choć pono platonicznej miłości. Maria sięgała wysoko, za mało jej było zostać kochanką królewską, chciała wraz z sercem króla pozyskać koronę Francji. I może byłoby się to jej udało, gdyż Ludwik kochał ją szczerze i przysięgał poślubić.

3.

Ambitnym planom młodej Włoszki przeszkodził jednak jej własny wuj. Kardynał nie chciał słyszeć o tym małżeństwie, czy to dla dobra Francji, czy też znając swoją siostrzenicę, wiedział, że nie byłaby ona powolnym jego narzędziem. Inne zresztą plany tak matka Ludwika, jak i wszechwładny Mazarini mieli dla króla Francji. Mimo gorących, popartych rzewnymi łzami próśb zakochanego Ludwika, awanturnicza kandydatka na tron francuski została odesłana do swej ojczyzny, gdzie następnie poślubiła ks. Colonnę.

W r. 1660 przyszło też do skutku małżeństwo Ludwika z Marią Teresą infantką hiszpańską, a siostrzenicą matki jego Anny Austriaczki.

Była ona wychowana w przytłaczającej powadze i sztywnej etykiecie dworu hiszpańskiego. Nie była jednak ani tak brzydka, ani tak głupia, za jaka ją powszechnie uważano. Podobna do swej ciotki Anny Austriaczki, tylko niższa od niej, miała olśniewająco białą cerę, przepyszne, szmaragdowe oczy i jasne włosy. Nie była też wcale głupia, tylko nieśmiała i poważna. Nie posiadała jednak zalet, którymi mogłaby była pozyskać serce żywego i żądnego wciąż nowych wrażeń króla, przyzwyczajonego do wesołego i swobodnego zachowania dam francuskich. Do tego jeszcze, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, przybywszy na dwór francuski razem z Henriettą, córką króla angielskiego, a małżonką brata Ludwika XIV, traciła bardzo przez porównanie z nią.

Małżeństwo jednak pięknej Henrietty z Filipem Orleańskim nie było szczęśliwe. Brat królewski jeszcze mniej nadawał się na wiernego małżonka niż sam król.

Zepsucie dworu francuskiego ujawniło się u niego w jeszcze wyższym stopniu aniżeli u Ludwika XIV. Podobno nie zadowalał się nią piękną, lecz poza kochankami uznawał także i... faworytów. Zboczenie to przeszczepione jeszcze w 16 wieku z Włoch do Francji za czasów Walezjuszów, było i ówcześnie dość rozpowszechnione.

4.

Młodziutka, zaniedbywana przez rozpustnego męża, a pełna temperamentu Henrietta uległa prędko demoralizującym wpływom otoczenia i chętnie przyjmowała hołdy innych mężczyzn.

Nic dziwnego też, że król, czuły na wdzięki niewieście i szukający wciąż nowej ofiary, a raczej nowej wybranki losu, zajął się piękną a bardzo kokieteryjnie na niego spoglądającą bratową.

Z początku była to tylko przyjaźń i sympatia braterska, lecz prędko zamieniła się w obopólną miłość, której bliski stosunek pokrewieństwa i fakt, że Henrietta była pierwotnie przeznaczona na żonę króla, dodawał tylko pikantnego pieprzyku.

Król podobno objawiał niejednokrotnie żal, że Henrietta nie została jego małżonką, twierdząc, że byliby bardziej dobraną parą, co naturalnie schlebiało ambicjom księżny.

Ponieważ jednak na dworze nic się ukryć nie da, prędko stosunek ten stał się publiczną tajemnicą i tak się nim zaczęto zajmować, że dowcipnisie twierdzili, iż dwór znał wkrótce przynajmniej równie dobrze, jeśli nie lepiej, niż sami kochankowie, wszystkie szczegóły tej tak interesującej miłostki. Wtedy to Filip Orleański, który dość pobłażliwie patrzył na romanse swej żony, o ile zdołała je ukryć przed oczyma dworu, lecz okazywał się bardzo surowym i zazdrosnym, gdy zdrada jego małżonki stawała się jawna, położył swoje „veto".

Wówczas sprytna Henrietta namówiła króla, by próbował odwrócić uwagę swego brata od ich stosunku przez pozorne zajęcie się jedną z dam jej dworu.

Wybór jej padł nie bez przyczyny na Luize de La Vallière, sądząc, iż pozbawiona uderzającej urody, a przede wszystkim cienia kokieterii dziewczyna, nie może być dla niej niebezpieczną rywalką. Ten chytry pomysł zawiódł w zupełności.

Niewinna, słodka, a przy tym urocza Luiza była nowością dla króla i właśnie przez kontrast z zalotnymi i aż nadto w miłości wykształconymi damami dworu, zrobiła na nim wielkie wrażenie. Do tego jeszcze jeden drobny szczegół wyraźnie to spotęgował.

5.